


Nr. 5. — STYCZEŃ 1936. — Rok XII.

# UWAGA! BACZNOŚĆ! MÓWIĄ, „IOWCY!“

Otwieramy nowy dział poświęcony przyjaciołom „Dziś i Jutro“, wszyscy mogą się serdecznie wypowiadać w tym dziale „Rzut z samolotu“, mogą nawzajem wspierać radami. Taka wymiana myśli może być źródłem natchnień, podnietą do pracy literackiej itp.

Samo otwarcie tego działu jest dla ogółu czytelników narazie nie zrozumiałe, może nawet dziwaczne, ale związek „I”, który zna swoje symbole, znajdzie siebie. Jeżeliby ktoś z czytelników rozpoznał któregoś z I-owców, proszę napisać do odpowiedniego okna, żeby uniknąć niepotrzebnych komentarzy. Zaznaczyć musimy, że np „wściekły pies” jest potężnym wierszem jednego ze zdolnych — młodych poetów.

# RZUT OKA Z SAMOLOTU

*Otwieram okno —*
*patrzę na zachód.*
*Wśród wąskich ulic Krakowa*
*szukam jednego okna.*
*W oznaczonem miejscu stoję długo,*
*lecz w oknie ciemno.*
*Czyżby tam życie zamarło?*
*Czy »płonący dysk« wrył się*
*zagłęboko na wschodzie?*
*Czy »makabryczny człowiek«*
*zapalił lampę dla drugich*
*... i zgasł?*

— — — — — — — — —

*Dalej na zachód widzę tłumy szare,*
*które rosną coraz bardziej,*
*Z tłumów wyrasta »czarna ręka«,*
*chwyta za młot,*
*uderza o czarną skałę,*
*wyrąbuje otwór, z którego tryska płomień.*
*Płomień olbrzymieje,*
*zasypuje iskrami coraz szersze pole,*
*Z szarej masy wyrasta las dziecinnych rąk*
*i chwyta w dłonie iskry spadające,*
*O dziwo! to nie iskry, to serca płonące!*
*Ziemię ogarnia pożar ogromny,*
*Zalewa domek skromny,*
*Zalewa »serca za tamą«.*

— — — — — — — — —

*Tyle cudów za ramą okienną,*
*A każdy cud inny.*
*W stolicy są wielkie, a ciche światy.*
*Tam wśród wrzawy wielkich kominów,*
*Krzyku afiszów i reklam dobroczynności,*
*Kryją się dzieła bezpomnikowe:*
*Ofiary — ratunek brata krwią własną.*
*O tych innych światach cichej pracy marzy imię:*
*spowite z Marzeń — czynu —*

— — — — — — — — —

*Najwięcej okien otwartych w mieście »lubem«.*
*Z jednego nieustannie patrzy dziewczę czar-*
*[nookie,*
*patrzy na świat okiem duszy »niebieskiej«;*
*Bierze wszystko w swe dłonie i sercem ogrzewa.*
*Zda się, że nic o nikim nie wie, nawet o sobie,*
*a jednak wszystkim dobrze w tych dłoniach,*
*tworzą się na nich dziwy — z zawieruchy*
*[jesiennej*
*wyrzucają jej palce: płaty białego śniegu.*

— — — — — — — — —

*W tem samem mieście dzieją się rzeczy nie*
*[samowite.*
*Niektórych okien wcale nie można otworzyć —*
*Czasem tylko widać przez szybę:*
*— Zamyśloną, smukłą postać poety,*
*Która spowiada się jeno sobie...*

— — — — — — — — —

*Czasem »pies wściekły« zaryczy pod oknem*
*zwiniętego w kłębek »ślimaka«*
*Wówczas wysuwa on swe rogi, a z pod nich*
*błyszczą źrenice piekące.*
*To nie ślimak!*
*To moc tytaniczna!*
*Otwórz okno, ukaż się!*
*Pchnij rogami mocy wszystkie narzędzia,*
*Niech lecą wszystkie do Mocy.*

— — — — — — — — —

*Ta co wciąż patrzy i nic nie mówi,*
*wszystkich oburącz trzyma*
*i znakiem tajemnym ich pieczętuje,*
*Nie omija dusz gołębich, które same siebie*
*[się lękają*
*i tych co kąpią źrenice w bujnej zieleni mia-*
*[sta lubego,*
*i tych, którzy nie śmią zajrzeć przez okno.*

— — — — — — — — —

*»I«*

* Patrz Nr. 8, z r. 1935 o Związku „Iowców!”

# DZIŚ I JUTRO

Pismo dla młodzieży

Rok XII. Kraków, styczeń 1936. Nr. 5.


## „TERAZ"

Zegar wydzwonił 24-tą godzinę ostatni raz w 1935 roku.

Zszedł do podziemi muzealnych ten, który jak i jego poprzednicy był owacyjnie witany przed 365 dniami. Okres jego istnienia poprzedzony znakiem zapytania. Z chwilą wybicia ostatniej godziny stał się przeszłością. — W ciągu swego biegu był żywotny i realny jedynie w chwili teraźniejszości...

Przeszłość idzie do antykwarjatu historji. Przyszłość jest nieznana, wątpliwa i subjektywnie przeczuwana w jasnych lub ciemnych barwach. — Znana jest tylko Stwórcy. — Dla nas ludzi jest tajemnicą. Przyszłość o iluzorycznej wartości może być jednak naświetlona i urobiona chwilą obecną. Ten realizm momentu obecnego choć nieraz twardy i nieubłagany swym pozytywizmem, jest jednak pełen uroku, bo nim przyszłość wykuwamy. — To »teraz« jest materjałem budowlanym w ręku murarza.

**Jutro** naszego życia będzie takie, jakim był **dzień dzisiejszy**, a ukształtowane zostało przez **wczorajszy** nasz dzień.

Gdy zapuścimy wzrok w głębię naszego własnego jestestwa, w jego kształtowanie się i to, co w nim urobiła każda chwila bieżąca naszych przeżyć — spostrzegamy w tym świecie tak bardzo »**naszym**« tyle porywów, wzlotów i upadków!...

Czyż nie zaznacza się bieg życia nawet najmłodszego z nas całą gamą wrażeń, przeżyć i czynów dodatnich lub ujemnych? — Ona, ta chwila bieżąca przeżyta dobrze lub źle wytworzyła tę mniejszą,lub większą wartość osobistą, lub ogólnoludzką, o ile była na szerszą metę zakrojona. — Zbiorowy wysiłek jednostek oddziaływuje na tę pierwszą komórkę społeczną, — rodzinę, a z niej rozlewa się na społeczeństwo — naród — państwo i Kościół.

Dla zilustrowania weźmy pełnowartościowy czyn wodza, lub żołnierza na polu walki o wolność. Jednostka ta jednocześnie była nastawiona pozytywnie do Boga, była praktykującym członkiem Kościoła, z którego czerpała moc i siłę ducha. — Jednocześnie ten bohater, członek rodziny, przelewając krew swoją na polu walki zrasza nią i użyźnia czynem wiekopomnym nietylko własną rodzinę, ale naród swój i Kościół, w którym tkwił wrośnięty religijnym kultem. —

Przeszłość i wysiłek własny wytworzyły w nim tę wolę niezłomną i hartowną. — On wyssał z piersi matki tradycję walecznych przodków, kult dla religji i miłość ku rodzinie i ojczyźnie. — Ale zadecydowała o wszystkiem dziejowa chwila, która wybiła w momencie przez Boga wyznaczonym. Choć padł na polu walki, ale to **teraz** stało się płomienną zapowiedzią przyszłości — był to egzamin decydujący o jego wartości. Mógł zdezertować wobec niebezpieczeństwa, a nie uczynił tego.

Każdy z nas przeżywa tę decydującą o przyszłości chwilę obecną. — Przeżywa ją jako zło lub dobro konieczne, z którem jest tak ściśle złączony jak krew, mięśnie i kości w organiźmie ludzkim.

Każdy jest jednak powołany i przeznaczony, aby wysiłkiem swej woli i obecnego ustosunkowania się do **teraźniejszosci** wytwo-

rzyć w przepotężnej machinie wszechświata dozę dobra lub zła na niego przypadającą. Niech się nie wymawia, że przeznaczenie Boże to lub owo przewidziało, a on ma się poddać temu fatum, że on się jemu nie oprze — niech weźmie na siebie pełną odpowiedzialność za chwilę obecną. Bóg bowiem dając człowiekowi wolną wolę, dopuszcza tylko zło, ale daje całą swą moc i łaskę do wykonania dobra.

*Zofja Trzaska.*

# Uśmiech przez drzwi.

Karol Miarka oparł głowę w dłoniach, zakrył oczy, zamyślił się głęboko.

— Co tu czynić? Mój święty Boże!... — powtarzał z goryczą.

Z poza drzwi drugiego pokoju dochodził go gwar dziewięciorga dzieci. Któreś z nich zapłakało. Karol Miarka podniósł głowę.

— Cicho, Marjanko!... Cicho!... Bo tatuś pracuje!... — doleciał go głos żony. Widać starała się uspokoić płaczące dziecko. Dziecko ucichło. Mocowało się z płaczem, mocowało, aż wkońcu znowu nastała cisza. Tylko reszta dzieci wszczęła ponowny gwar. Karol Miarka słuchał. Potem skrył twarz w dłoniach, oczy przymknął. A wtedy zdawało mu się, że pod powiekami przesuwa się jego życie.

Oto z poza drzwi dochodzi go gwar dzieci. Marjanka, co już od dwóch miesięcy choruje, leży w łóżeczku pod ścianą. Nakryta jest podartą kołdrą. Marjanka jest blada i chudziutka. Podobna do drobnej ptaszyny, do małego pisklęcia. Jedynie niebieskie jej oczy lśnią niezdrowym gorączkowym blaskiem. Na lekarza niema pieniędzy...

Józefek bawi się spewnością w tej chwili połamanym konikiem, którego otrzymał od Janka Mojeścikowego. Hanka i Janek stawiają z klocków zamek. Wierzą, że zamek będzie piękny, że się potem wszyscy do niego sprowadzą, a w zamku nie będzie już nędzy ani głodu, ani zimna. A ojciec nie będzie się już martwił. Drobna Dorotka czyta książkę. Tę samą książkę, którą przysłał pan Stalmach z Cieszyna. Książka jest pisana wierszem, takim najpiękniejszym wierszem na świecie. To jest ta sama książka, która powiedziała Karolowi Miarce, że jest Polakiem. Pan Tadeusz Adama Mickiewicza.

Karol Miarka już w tej chwili nie myśli o reszcie dzieci. Już nie wie, co robią w tamtym pokoju za drzwiami Emil i Karol, Zuzanka i najmniejszy Franuś. On teraz myśli o tamtej dziwnej książce, co przyszła do niego nieoczekiwanie.

— Boże, jak temu już dawno, a jednak niedawno! — myśli Karol Miarka.

I jakby zdumiony jął znowu patrzeć w obrazy, przesuwające się pod jego powiekami. Jakie to wszystko dziwne! Czuł się Niemcem, gardził mową polską, a przyszedł ksiądz biskup Bogedain, Niemiec z dziada pradziada i powiada mu czystą polszczyzną:

— Panie Miarka, jesteś Polakiem! — i każe uczyć się języka polskiego.

Przychodzi Stalmach z Cieszyna, człowiek mądry o ciemnych głębokich oczach i powiada:

— Panie Miarka, jesteś Polakiem!...

A potem przychodzi człowiek ogromnie sterany, szukający schronienia, powstaniec z partji kaliskiej, Jan Chociszewski, i ten go dopiero nauczył żyć doostatka dla Polski.

— Polska sama przyjdzie do was, panie Miarka! — powiedział mu Stalmach, i oto jakby się spełniła jego przepowiednia. Polska przyszła do Karola Miarki w osobie znużonego powstańca Chociszewskiego.

Mijały dni, mijały miesiące i lata, a Karol Miarka zapiekał się w swoim uporze. Toć przecież na Śląsku mieszka lud polski, taki bardzo biedny, opuszczony lud polski. Nikt się o niego nie troszczy. Niemcy twierdzą, że to ziemia niemiecka, a on przecież w sercu swojem czuje, że to ziemia polska. Trzeba powiedzieć o tem Ślązakom! Powinni się bronić przed zniemczeniem, powinni domagać się swych praw w sejmie pruskim. Ślązacy muszą mieć swoich obrońców, swoich posłów w sejmie pruskim. I swoje książki, które im będą mówiły o Polsce.

— Boże, jak już temu dawno, a jednak niedawno!... — myśli Karol Miarka, a przesuwające się myśli wywołują coraz nowe obrazy. Już napisał tyle książek, wydaje pierwszą polską gazetę na Śląsku, dopłaca do niej, lecz nie ustaje w podjętym wysiłku. Wypowiedział walkę rządowi pruskiemu i samemu Bismarckowi. Sypią się kary pieniężne i więzienia...

Karol Miarka spojrzał na biurko. Leżą na niem pozwy sądowe. Czyta je powoli, liczy i zastanawia się, co mu przyniosą. Oto dziesiątego maja proces o wygłoszoną mowę w Kółku... Dwudziestego maja proces o obrazę Bismarcka... Drugiego czerwca odrazu pięć spraw: o podburzanie do gwałtów przez wydaną odezwę wyborczą, o używanie w odezwie Imion Świętych, o obrazę majestatu raz, o obrazę majestatu w gazecie drugi raz, o obrazę niemieckiego pastora... Piątego sierpnia znowu rozprawa sądowa o obrazę majestatu cesarskiego...

— Ileż to będzie w przybliżeniu miesięcy więzienia? — myśli Karol Miarka i trze czoło. Liczy, liczy... hm, przynajmniej dziesięć miesięcy!...

A za drzwiami w drugim pokoju głodne dzieci, nie mają się w co ubrać, Marjanka chora, niema pieniędzy na lekarza... Oto przyjdzie własne pięści gryźć z rozpaczy. Serce się krwawi, gdy pomyśli o nędzy, jaką cierpią żona i dzieci. Wszak jego dzieci najbiedniej ubrane zpośród wszystkich dzieci we wsi. W jego domu nawet tej odrobiny ziemniaków niema na obiad...

Ktoś zapukał do drzwi, ostrożnie, bojaźliwie.

— Proszę wejść! — rzucił niechętnie Karol Miarka, podnosząc się z poza biurka. Pomyślał, że listonosz przynosi mu nowy pozew do sądu.

Otworzyły się nieśmiało drzwi, do pokoju wśliznął się człowiek. Ubrany zpańska, o chytrych, kaprawych oczach, z rudą bródką. Zgięty uniżenie, zacierając dłonie, podszedł do biurka, rzucając niespokojnie oczami.

— Ach, to pan! — żachnął się niechętnie Karol Miarka, poznając agenta policyjnego i powiernika rządowego.

— Mam do pana interes! — rozpoczął agent po niemiecku, zacierając wciąż dłonie i łypiąc niespokojnemi oczami.

— Nowy pozew?

— Nie.

— Proszę siadać!.. — rzekł Karol Miarka i wskazał mu krzesło.

Tamten usiadł na brzeżku krzesła i przystąpił odrazu do rzeczy. Wyjrzała z drugiej izby żona Miarki, lecz spostrzegłszy agenta, mruknęła coś i cofnęła się, zamykając drzwi.

— Ja nie przychodzę z pozwem sądowym... O, ma ich pan dosyć na stole!... — rzekł agent, wskazując z uśmieszkiem na rozłożone papiery na biurku. — A nie musiałoby być ani jednego...

Nie rozumiem...

— Panie Miarka. Ja odrazu powiem wszystko. Jak do przyjaciela...

— Do przyjaciela? — skrzywił się Miarka.

— Tak, do przyjaciela!... Wszystkie te pozwy sądowe będą unieważnione. Niech pan nie przeszkadza! — rzucił szybko, widząc, że Miarka chce coś powiedzieć. — Niech się pan nie unosi, dopóki nie powiem wszystkiego. A gdy powiem...

— To proszę mówić, a nie kręcić... — mruknął Miarka.

— Zaraz, zaraz!... Pokolei!... Pan nie wie, że pan ma przyjaciół. Tak, przyjaciół!... I pan landrat jest panu przyjacielem, i władze i wszyscy. Ba, nawet sam nasz wielki kanclerz von Bismarck jest panu przyjacielem... Tylko pan tego nie wiesz, ani nie umiesz ocenić... Prawdę mówię... Mamy pismo tajne z Berlina... Ho, ho!... Tam w Berlinie bardzo sobie pana ważą... bardzo cenią... Pan może wysoko i daleko zajść!... Lecz...

— Lecz co?...

— Zaraz, zaraz!... Pokolei!... Oto wszystkie te pozwy będą unieważnione... A pan otrzyma sutą subwencję na swoją gazetę... Na swojego »Katolika«. Bo widzę, nie przelewa się u pana!.. — tu spojrzał z przekąsem po ubóstwie, wyzierającem z każdego kąta izby.

— No, i cóż dalej!...

— Zaraz!... Niech pan nie przeszkadza!... Otrzyma pan trzydzieści tysięcy talarów... słyszy pan!? Trzydzieści... tysięcy talarów!... Gotówką!... Tylko pan się zobowiąże...

— Co?

— ...że pan da polityce spokój w swojej gazecie!... Poco pisać o polityce, o wyborach, o posłach? Jest przecież tyle ładnych tematów innych. O wiośnie, o rybach, o pszczołach... Pan lubi pszczoły, prawda, panie Miarka?... Jak mówię! Otrzyma pan trzydzieści tysięcy talarów i koniec z polityką w »Katoliku«.

— A co jeszcze?

Agent spojrzał nieufnie na Miarkę. Zdawało mu się bowiem, że Miarka kpi z niego. Lecz chyba nie. Tyle przecież pieniędzy!... Mein Gott! To majątek!... Ciężki majątek!...

— Co jeszcze! — podjął z obleśnym uśmieszkiem. — Ho, ho!... Rząd pruski umie być wdzięczny... Ho, ho!... Otrzyma pan jeszcze za każdego posła rządowego po dwa tysiące talarów. Naturalnie, pan musi zaprzestać z podburzaniem ludności. To do niczego nie doprowadzi! Rząd pruski i tak przeprowadzi swoich posłów ze Śląska do sejmu w Berlinie. Więc poco panu zadzierać z władzami. A gdy pan będzie siedział pocichu, dostanie pan po dwa tysiące talarów za każdego posła niemieckiego, wybranego na Śląsku. No, niech pan policzy... Subwencja na »Katolika« trzydzieści tysięcy talarów, posłów niemieckich na Śląsku będzie trzydziestu dwóch — to jest sześćdziesiąt cztery tysiące talarów... Suma sumarum... no, ile, panie Miarka?... Niech pan słucha!... Dziewięćdziesiąt i cztery tysiące talarów!... Mein Gott! To jest majątek!... Majątek!... Oto, proszę, papier!... Proszę podpisać... No, proszę... A dziewięćdziesiąt i cztery tysiące talarów bahres Geld!... Na stół!... No, proszę podpisać!... Oto pióro...

Karol Miarka nie wierzy własnym uszom. Chryste Boże!... Tyle pieniędzy!... Tyle pieniędzy!... A tam za drzwiami dzieci płaczą, tam głód, nędza, choroba!... Dzieci nie mają co do ust włożyć!... Nie mają się w co ubrać... Boso chodzą w zimie!... Żona narzeka i płacze po nocach... A tu tyle pieniędzy? I to za co? Żeby siedzieć spokojnie! Żeby nie agitować między Ślązakami za polskimi posłami! Żeby nie pisać o Polsce w »Katoliku«! Żeby poprostu nic nie robić.!.. Chryste Boże!... Co tu zrobić?...

Skrzypnęły drzwi, odchyliły się lekko. Karol Miarka spojrzał. Oto w uchylonych lekko drzwiach, wiodących do drugiej izby stoi jego żona w nędznej sukni, blada, chuda, z podkrążonemi od głodu oczami. Patrzy na niego. Oczy jej są ogromnie niebieskie. Płoną jakimś dziwnym ogniem. Teraz jej zaciśnięte usta rozchylają się w uśmiechu. Uśmiech rozpromienia jej twarz. Twarz staje się tak bardzo piękna. Teraz podnosi palec i daje mu znak, żeby nie dał się skusić judaszowskim srebrnikom.

Karol Miarka odetchnął. W tamtym uśmiechu swojej żony wszystko znalazł. I tę dawną moc, i upór, i to umiłowanie swej pracy dla polskiego Śląska.

Już postanowił.

Podszedł do drzwi, otworzył je szeroko do sieni i krzyknął na przerażonego agenta:

— Proszę!... Drzwi otwarte!... Już!... Ale już!... — zawołał groźnie.

Agent zgarnął swój papier, porwał swoje gęsie pióro i wymknął się chyłkiem do sieni, a potem na drogę, zasłaniając się ramieniem. Karol Miarka zaś oparł głowę o futrynę i zamyślił się. A wtedy wyczuł, że ktoś obejmuje jego dłonie i szepce ciepło i tkliwie:

— Bóg ci zapłaci, Karolu!... Bóg ci da zwycięstwo!...

Karol Miarka ocknął się z ciężkich myśli, odwrócił. Ujrzał przed sobą wymizerowaną swoją żonę, patrzącą w niego ogromnie niebieskiemi i tak bardzo ufnemi oczami.

I Bóg dał zwycięstwo Karolowi Miarce.

*Gustaw Morcinek.*

## *PRZYSZŁOŚĆ.*

*O życie! lękiem napełniasz mą duszę,*
*Gdy myślę o tobie w me noce bezsenne!...*
*O życie! przecież ciebie przeżyć muszę,*
*Poznać twe koleje tak przedziwnie zmienne.*
*Czy smutkiem, łzami złamie moje serce?*
*Jakąż mi przyszłość ześle Przeznaczenie?*
*Czy biedną duszę wypełni zwątpienie?*
*Jak długo mam się dręczyć w tej rozterce?*

*Może dasz szczęście? Dziecinne rojenia!*
*Czyż mym udziałem tylko łzy być muszą?*
*A może spełnią się moje marzenia,*
*By radość chłonąć rozśpiewaną duszą?*
*Lecz nigdy nie potrafię zapomnieć o nędzy,*
*O tej co duszę cierpieniem rozrywa...*
*Dlatego mimo złotej snów mych przędzy,*
*Nigdy prawdziwie nie będę szczęśliwa!*

*Krystyna Korywicka.*

# NA NOWY ROK 1936.

*Dziś to jest sen...!*
*Jest tylko wczoraj i jutro...!*
*W dal obcą, hen*
*Szumiący płynie strumień,*
*Milczący i zadumany*
*Pochylił się nad nim Heraklit*
*Wpatrzony w zmienny nurt*
*Kosmosu, myśli i sumień.*
*Ha,* πάντα ῥεῖ,[1]) *zostały w mrocznej dali*
*Umarłych już perspektyw zmagania się, walki i skony,*
*Niejeden serdeczny krzyk znikł w wszystkochłonnej fali*
*I spełznął na blady cień bunt wichrów krwią czerwony.*
*Ha* πάντα ῥεῖ, *i my inni jesteśmy codzień,*
*Na nasze umarłe dzieciństwo patrzymy obcemi oczyma!*
*Ha, iluż strasznych tęsknot, iluż cierpień już dawno niema!*
*Ile milowych kamieni już minął tęskny przechodzień!*
*Ha,* πάντα ῥεῖ, *a jutro jeszcze daleko!*
*I nie znużyły się za niem wyczekujące oczy,*
*Za siódmą lśni ono górą i za dziesiątą rzeką,*
*Z wieczystych rodzi się szczytów, z wieczystych nadchodzi zboczy.*
*A człowiek liczy lata, jakby paciorki różańca*
*I z szarą laską pielgrzyma po szarych wędruje drogach,*
*Aż dojdzie w swojej wędrówce do czasu najdalszych końców.*
*Gdy przyszłość i przeszłość zapadną w milczącą wieczność Boga.*

---

[1]) πάντα ῥεῖ (panta rei) — wszystko płynie — filozoficzne wyrażenie Heraklita (*przypisek Redakcji*)

---

# Drzewa w śniegu.

Nie było wtedy myśli ani serc do zachwytów. Szli białym, pięknym lasem jak ślepi i głusi, skradali się za cudami oszronionych krzaków, deptali buciarami, plamili krwią niepokalaną biel śniegu.

W najbardziej czarowne, zimowe, wybrylantowane gwiazdami noce myśleli jeno o chwili spokojnego odpoczynku, oni, zgonieni, jak dziki zwierz w ostępach, z rękami na cynglach zardzewiałych, powiązanych sznurkami dubeltówek, a z głowami... o, z głowami w obłokach marzeń, w oparach szaleńczej myśli, że jednak... że może...

Nie zawsze jednak te marzenia były takie górne i nieziemskie. W chwilach głodu i omdlewania z ran, w chwilach załamania się psychicznego tych, tak bardzo młodych jeszcze chłopaków przychodził do nich poprzez ciche, zaśnieżone równiny, poprzez haszcze nieprzebyte — Dom: stary dwór gdzieś daleko, o niskich ciepłych pokojach, w których stały meble ciężkie, masywne, z trudnością poddające się zaokrągleniom i rzeźbom. Nad rozłożystą, krytą ciemnym rypsem kanapą, nad owalem stołu wisiał w ciemnych ramach portret wuja, czy powinowatego, co to w listopadowem powstaniu Belweder zdobywał. Oczy chłopca patrzyły nań co wieczór w świetle kominkowego ognia i na tej młodzieńczej twarzy uczyły się pierwszych odruchów bohaterstwa.

Szeleściały mu w uszach zwiewne muśliny matczynych szat, orzechowy klawikord z pod jej palców wyśpiewywał melodję War-

szawianki, a chłopiec w zacisznych, ciepłych ścianach rodzinnego domu szykował się do Czynu.

Czyn przyszedł niespodziewanie w biało-szary zimowy dzień, jakże inny od tego wymarzonego, jakże smutniejszy. Zamiast cudnego, barwnego munduru podchorążych — szara, niepokaźna czamarka, zamiast jawnej, rwącej na usta okrzyki zapału, gorącej walki — ciche, umówione stukanie w okiennicę jego chłopczyńskiego pokoju.

— Już czas!

Znikły gdzieś jasne, powłóczyste szaty matki i loki złociste tej jednej dziewczyny, o której właśnie po raz pierwszy pomyślało się z tkliwością. Ciemna, zapięta pod szyję suknia, włosy gładko ku tyłowi zaczesane, ozdoby ze stali, tylko złoty krzyż na czarnej aksamitce, zawieszony na szyi — oto obraz, jaki mu się utrwalił w pamięci, gdy w czarną noc wyruszał do lasu.

A teraz las go pochłonął.

W dalekiej stolicy Rząd Narodowy myśli za niego i za jego towarzyszów.

W stolicy, przytłumionej uciskiem moskiewskiego buta, burzącej się cicho i dyszącej nienawiścią. Rząd Narodowy w maleńkim zakonspirowanym pokoiku półgłosem radzi o losach Narodu.

W lasach ośnieżonych, zimowych, w cieniu wyniosłych, cudnie białych choin i świerków gromady młodych zapaleńców wypisują ten sam los krwią swoją na śniegu, na zielonych gałęziach sosen, na żółtawym mchu.

Pachną chłopcom te sosny i świerki jeszcze nastrojem Bożego Narodzenia, jeszcze dzieciństwem, z którego tak niedawno przecież wyszli...

*

W mglisty, styczniowy dzień idę mostem ku Pradze.

Wisła płynie drobnem, wąskiem korytkiem pomiędzy zwałami lodu i śniegu, drzewa chwieją nagiemi gałęziami, mleczne, nieprzeniknione powietrze otula każdą dalekość.

Nagle wieża kościoła świętego Florjana wychynęła tuż przede mną niespodziewanie i prawie groźnie, jeszcze tylko kilka kroków ulicą Florjańską i oto stoję już przed drzwiami do których prowadzą wysokie schody: Schronisko Weteranów z 63 roku.

Jeszcze kamienne schody, jeszcze kilka słów przedwstępnej rozmowy z miłą kierowniczką zakładu, panią Hopferową i poczynam odwiedzać... przeszłość.

Pierwsza rzecz, która uderza w Schronisku Weteranów, to cisza, ciepło i... zapach sosny. Małe, przytulne pokoiki toną jeszcze w mroku, bo dziadziowie wypoczywają właśnie po obiedzie, czasami tylko cicha muzyczka radja sączy się nikło z za drzwi. To jeden z dziadziów umila sobie poobiednią siestę. W mroku pokoju bieleje tylko siwa głowa przytulona do poduszki i świeci złoty krzyż na dziadziowej czamarce, wiszącej na krześle. Krzyż ten o pięknym, prostym rysunku dostali staruszkowie na 70-tą rocznicę powstania styczniowego, a drugi jeszcze, inny kształtem od Czechosłowacji, kiedy to z wycieczką tam jechali.

Ale najważniejsza w pokoju jest bezsprzecznie choinka. Mała, zgrabniutka stoi na stole obwieszona złotemi nićmi i słodyczami i pachnie... lasem.

W czasie tej szarej, popołudniowej godziny niejedno wspomnienie przyjdzie do staruszków wraz z zapachem sosny, niejeden zblakły obraz nabierze barw i wypukłości.

W świetlicy, dużej, estetycznie urządzonej sali stoi wielkie drzewo, aż pod sam sufit. Pstrzą się na niem kolorowe cacka, łańcuchy kunsztownie wycinane, elektryczne, kolorowe lampki. Tu schodzą się dziadziowie, pięknie przystrojeni, ze wszystkiemi orderami, gwiazdkami i honorami i śpiewają kolendy.

Jest ich 7-miu, tylko 7 miu...

Milczarski, Grzywiński, Rzewuski, Roliński, Tarnawski, Maciejowski, Krystofik.

»Najmłodszy« — Tarnawski liczy sobie 88 lat, najstarszy, maleńki, pokorny staruszek Krystofik — 97.

Poszli do powstania, będąc 16, lub 17-letnimi chłopcami przez lasy i haszcze, przez więzienia i katorgi doszli niektórzy aż do Sybiru, i oto teraz w wolnej Ojczyźnie dożywają dni swoich w ciszy i spokoju.

Różni są staruszkowie. I wytworni panowie, z gestem ludzi przywykłych do rozkazywania i cisi, trochę zahukani przez życie intelektualiści i prostaczkowie.

Niedawno, jakże niedawno była między nimi jedna kobieta — pani Henryka Dani-

łowska, niezastąpiony łącznik między partjami, mądry i sprytny kurjer dyplomatyczny, wierny, pełen poświęceń towarzysz.

Na sprawach powstania, na smutkach powstaniowych zeszła młodość Henryki Daniłowskiej, tak, jak młodość jej kuzyna, Władysława Daniłowskiego, zeszła na walkach w katordze.

Niedawno jednak zgasła staruszeczka cichutko, zgasła jedyna kobieta weteranka w Schronisku

Wspominają ją jeszcze dziś dziadziowie, zebrani przy choince. Pochylają się w skupieniu siwe głowy, jak konary drzew wyniosłych i przyprószonych dziś bielą śniegu.

Pachnie sosna, szeleszczą cicho gałęzie choinki. Modlitwa jest wielką pociechą, śmierć przychodzi cicho i niespodziewanie.

*Marja Dąbrowa.*

---

# Zofja Romanowiczówna.

*„Była natchnieniem tych, którzy poszli walczyć i ginąć"*
*Kleszczyński.*

Przed kilku laty streściłam dla »Dziś i Jutra« historję »Klaudynek« według pięknej książeczki Zofji Romanowiczówny, jednej z założycielek tego historycznego kółka. Postanawiając przeprosić czcigodną, a nieznaną mi osobiście autorkę, za mimowolne naruszenie prawa autorskiego, udałam się w tym celu do niej. — Romanowiczówna — weteranka 63. roku, licząca wówczas lat 90, przyjęła mnie bardzo serdecznie. Ucieszyła się, że młode pokolenie zna historję »Klaudynek« — Wiedząc, że staruszka utrzymuje się wyłącznie z bardzo skromnej emerytury nauczycielki z zaboru austrjackiego, prosiłam ją nieśmiało o przyjęcie honorarjum za ów artykulik. Odmówiła, przeznaczając pieniądze na cel narodowy.

Młodość Romanowiczówny przypadła w czasie, gdy naród polski spragniony wolności — czynił przygotowania do styczniowego Czynu.

Szesnastoletnia Zosia, uczenica pensji Felicji z Wasilewskich Boberskiej we Lwowie — poddała całą duszę nastrojowemu prądowi. Z dwiema koleżankami Wandą Dybowską i Julją Dzierżanowską założyła »Klaudynki«, pierwszą wówczas organizację kobiecą w Polsce.

Za godło obrały sobie młodziutkie entuzjastki czarny krzyżyk żelazny, noszony na szyi. Za patronkę — Klaudję z Działyńskich Potocką.

Rozpowszechniło się wkrótce to kółko dziewczęce we wszystkich trzech zaborach. Budzenie ducha narodowego wśród warstw ludowych, patrjotyczne nabożeństwa, manifestacje, organizowanie składek, poczta dla tajnych posyłek — to jego chlubna działalność przed wybuchem powstania. Z chwilą porwania za broń — Klaudynki utworzyły



Zofja Romanowiczówna w stroju noszonym przez Klaudynki.

»Komitet niesienia pomocy powstańcom«. Zofja Romanowiczówna płomienną odezwą: »Do Polaków i Polek na wieść o powstaniu« — poruszyła sumienie narodu i licznymi ochotnikami wzmocniła szeregi walczących. Powiedziano o niej, że »była natchnieniem tych, którzy poszli walczyć i ginąć«.

Klaudynki zbierały fundusze na broń,

pielęgnowały rannych, ułatwiały więźniom ucieczkę. Tę bohaterską ofiarność przepłaciła niejedna z nich chorobą lub więzieniem.

Zofja Romanowiczówna wierzyła niezachwianie w lepsze jutro. Z pod pióra jej wychodziły broszurki patrjotyczne, niedawno ukazały się wspomnienia o bracie śp. Tadeuszu, znanym działaczu.

Była ideałem swoich uczennic. Uwielbiały ją za czynną miłość Ojczyzny, pochłaniały jej wykłady historycznej treści.

Romanowiczówna znała osobiście wielu wybitnych rodaków. Wincenty Pol nazwał ją »białą konwalją«, Szujski »Lillą Wenedą«. Twierdzono, że była narzeczoną Mieczysława Romanowskiego, poety-bohatera. *)

Kraszewski, Ujejski, Grottger, Konopnicka, Dulębianka — darzyli ją wielką życzliwością.

— »Złociła zawsze dni moje, niosła ulgę i osłodę życia — przyjaźń« — mawiała z radosnym uśmiechem.

Gdy rozszalała się wojna światowa, siedemdziesięcioletnia już weteranka stanęła do czynnej pracy, jako przewodnicząca Ligi Kobiet. Przeczuwała w tych krwawych zmaganiach wyzwolenie Ojczyzny, w wyruszających na bój Legjonach widziała zawiązek armji polskiej.

Społeczeństwo polskie pamiętało o zasługach Romanowiczówny i wtedy, gdy trzydziestoletni trud pedagogiczny zamknął ją w cichem mieszkanku lwowskiem.

Wyzwolona Macierz obdarzyła ją orderem Polonia Restituta i Krzyżem Niepodległości. W każdorazową rocznicę styczniową, składali jej cześć delegaci licznych stowarzyszeń, młodzież szkolna znosiła kwiaty.

Jednym z ostatnich wzruszających dowodów pamięci była przesyłka pocztowa, którą staruszka otrzymała w lutym, ub. roku. Dołączono do niej następujący list:

*»Najczcigodniejsza Pani!*

Wielkiej Polce, która udziałem w akcji powstania styczniowego dała wyraz gorącego patrjotyzmu — my uczennice składamy hołd i zaznaczyć chcemy, że to młode pokolenie, wyrosłe w wolnej Ojczyźnie, nietylko nie zapomniało o czynach tych, którym zawdzięcza byt w niepodległej Polsce, lecz także postanawia wstępować w ich ślady, pracując dla dobra całego społeczeństwa.

W dowód pamięci posyłamy trochę słodyczy, zarazem serdecznie przepraszamy za zbyt skromny dar, ale klasy nasze są nieliczne, do tego kryzysowe czasy nie pozwalają na większe oszczędności...

Łącząc wyrazy najgłębszego poważania, życzymy Ci Czcigodna Pani pogodnych i jasnych chwil w wolnej już Ojczyźnie. Uczenice klas VIII i VII gimnazjum państw. w Brzeżanach, dnia 22 lutego, 1935 r.«

Zofja Romanowiczówna zgasła w dniu 3 czerwca ubiegłego roku. Żyła lat 92. Honorami wojskowemi pożegnał Lwów ostatnią weterankę 63 roku.

*Wisława.*

*) W r. 1927. „Dziś i Jutro" umieściło życiorys jego, pióra Z. Romanowiczówny.

# „Chatka" Żeromskiego.

Niedawno, bo 20 listopada minęło 10 lat od chwili śmierci Stefana Żeromskiego.

Tego dnia jak i następnych, organizowano w całej Polsce obchody ku czci wielkiego pisarza. Byłam na jednej z akademij, słyszałam okolicznościowe przemówienia, wstrząsający fragment z »Międzymorza« i serdeczne wspomnienia o Żeromskim. Ten wieczór, jak również doskonale odegrany przez zespół teatru Wołyńskiego, »Ponad śnieg bielszym się stanę«, były moim własnym, w głębi serca obchodzonym dniem, jakich ludzie mają zwykle niewiele. Drugiem niezapomnianem uczuciem dziesiątej rocznicy śmierci Stefana Żeromskiego była wycieczka do Nałęczowa i obejrzenie, niestety tylko zewnętrzne domku wielkiego pisarza. W niedzielę 15 grudnia wyruszyliśmy rano autem do odległego o 25 km. od Lublina, Nałęczowa.

Dzień był mroźny, pochmurny. Jeden z tych szaro-białych, bezsłonecznych dni

grudniowych. Na polach cienka warstwa śniegu, nagie gałązki przydrożnych drzew przecinały perłowe tło swemi czarnemi splotami. Po dość nieprzyjemnej drodze (fatalna szosa pod Nałęczowem) zajechaliśmy wreszcie przed park.

Park jest biały, cichy i pusty, bo to »nie sezon«. Prócz kilku osób — zimowych kuracjuszy, widać grupkę takich jak my — zwiedzających. Wychodzimy z parku, aby obejrzeć domek Żeromskiego, o którym ludzie z Nałęczowa mówią — »chatka Żeromskiego«. Znajduje się on na małej górce. Jest mały, samotny, otoczony sporym ogródkiem.

»Chatka« to parterowy drewniany domek z ganeczkiem, o nisko osadzonych owalnych oknach. Dach ganku jest ozdobiony i wykończony szlakiem drewnianych »wycinanek«. W ogródku, w pewnem oddaleniu, znajduje się mauzoleum ukochanego synka Żeromskiego — Adasia.

Nie można go niestety obejrzeć zbliska, gdyż domek jest otoczony drucianem ogrodzeniem, które stoi otworem tylko w »sezonie«. Spadzisty dach jest ośnieżony, ogródek również spoczywa pod cienką warstwą śniegu. Przechodząca kobieta przystaje, widząc, że my jesteśmy »nietutejsi«. Mówi, że »ten domek jest teraz pani Witkiewiczowej, pasierbicy Żeromskiego. W sezonie można go zobaczyć w środku i wszystko stoi tak, jak pan Żeromski zostawił«. Słuchałam tych słów z przyjemnością, bo były wypowiedziane z dziwną jakąś powagą i jakby czcią.

»Chatka« Żeromskiego, mała, drewniana, ma dla mnie wartość gmachu, bo w jej wnętrzu wielki mocarz słowa myślał, przeżywał i pisał. Tu miotany dotąd losem po różnych stronach kraju i zagranicy znalazł spokój, i wchodząc w głąb życia całego społeczeństwa własnego i obcych, wydobywał wartości miary nieprzeciętnej, uwieczniając je wyrazami pięknemi i potężnemi, którą wiecznie żyć będą na kartach jego dzieł.

Niestety musimy już wracać i pożegnać domek, którego drewniane ściany słyszały słowa Żeromskiego i te zwykłe, codzienne i te wzniosłe, bolejące nad niedolą ludzką lub z umiłowaniem najwyższem sławiące życie; widziały go te ściany przy pracy i w odpoczynku, widziały jego smutki i radości. Powracając przez park, przechodzę koło pomnika Żeromskiego. Nie jest to nawet popiersie, ale głowa, piękna w swej niezwykłości głowa, wmurowana w bryłę kamienną.

Wiele osób przechodziło koło Żeromskiego »z kamienia«; byli tacy co mijali go nie zwracając nań uwagi. Nie wiem jednak czy wiele osób przystanęło z uznaniem przed Tobą Mistrzu, aby Ci podziękować za to miłością rzeźbione słowo polskie, za to, żeś tak cierpiał widząc nędzę i łzy ludzkie, za to, żeś wymarzył »szklane domy«. O Mocarzu słowa, o malarzu duszy ludzkiej, nędznej i wspaniałej, zmagającej się z szatanem i świętej, który swemi przemądremi i wiedzącemi oczami patrzysz w bezkres! Sądzę, że jest Ci dobrze w tym parku nałęczowskim, bo masz przed sobą to, coś za życia ponad miarę umiłował: przyrodę i niedolę ludzi chorych, zmęczonych. —

*H. L. kl. VIII*
*Gimn. 523.*

# Przejazd Pani.

Biała szata zimy otuliła ziemię. Śnieżny puch pokrył wszystko, a iskrzące jego brylanty czarowały wkoło. Cisza dnia zimowego była niezamącona. Niebo wisiało naprzemian szafirowe, to znowu popielate, śląc — jakby zaczarowanej ziemi złociste promienie, lub sypiąc śnieżnym brylantem. Wieś zdawała się uśpioną. Ludzie przeżywali swoje zimowe dnie przeważnie po chatach... Żaden ruch nie mącił ciszy i spokoju wiejskiej zimy. I tylko długi gościniec wskazywał na kontakt tej zapadłej wioski z resztą świata. Gościniec wił się długą i niezadrzewioną wstęgą, prowadząc do dworu. Miał tylko jedno zadanie tą zimową porą: oto służył swej pani. Codziennie o tej samej porze wyjeżdżała saniami na spacer — gościniec wiódł ją wokoło wiejskiej jej posiadłości, pokazywał białe, je-



Cisza dnia zimowego była niezamącona...

dnostajne pola, stykał jej wzrok z pustym horyzontem, wystawiał jej bladą twarz na podmuch zimowego wiatru... A kiedy dojeżdżała do rozstajnych dróg, skąd widok był najrozleglejszy i gdzie niebo zdawało się z ziemią stykać — tam przystawały dworskie sanie, a pani zwracała swój wzrok tam! w stronę horyzontu, patrzała chwilę... i głębokie westchnienie wydobywało się z jej piersi... Po chwili takiej zadumy sanie ruszały z powrotem i znów gościniec prowadził je w stronę dworu. I tak było codziennie.

Jedyną rozrywką uśpionej zimą wsi, był ten przejazd pani... Codzień, kiedy zbliżało się południe, grupka dzieci wiejskich, z rumianą Kasią na czele, wylegała na gościniec, by powitać przejeżdżającą, starsi wylegali przed chaty — a ona wzamian jadąc posyłała im uśmiech i ręką pozdrowienia... I to było wszystko.

Ludzie ci tak się przyzwyczaili do tej chwili dnia — która im przypominała, że nie są opuszczeni — że przejazd ten był dla nich dziennym zegarem, od którego liczyli czas...

Przejazd pani...

Kochali ją wszyscy za ten jej uśmiech życzliwy i za to jej nieme pozdrowienie i uważali je za rodzaj błogosławieństwa, od którego zależała reszta dnia... Ludzie ci uważali sobie za obowiązek być o tej porze w oknie lub przy drodze, bo wierzyli, że ktoby zaniedbał tę chwilkę uśmiechu pani, temu mogłoby się przytrafić coś złego.

Tak już było...

Przejazd pani był niewyczerpanym tematem do rozmów starych i młodych: »Jaka ona musi być szczęśliwa — mawiali jedni — taki dwór... takie sanie... tak sobie może jeździć codziennie po swojem...«

— Ee, mawiali drudzy, kto to może wiedzieć, taka często jedzie zamyślona... musi mieć i ona swoje zmartwienia...

— — — — — — — — —

Stały przystanek pani tam, na dróg skrzyżowaniu, zaciekawiał wszystkich. Nikt nie wiedział dlaczego tam zawsze staje... i nikt się nie śmiał o to zapytać.

Była niedziela. W nocy napadał świeży śnieg i zatarł wszelkie ślady na gościńcu. Ziemia iskrzyła się w słońcu... Brylantowe sople zwieszały się z drzew i dachów i wieś jakby przywdziała świąteczną szatę na przejazd swojej pani. Zbliżało się południe i chwila oczekiwana. Dzieci wyległy swoim zwyczajem na drogę, starsi przed chaty... Czekali.

Długi gościniec zatarł swe codzienne ślady pod świeżym śniegiem i nie widzieli ludzie jego początku. Głowy wszystkich zwrócone były wciąż w stronę, skąd miała nadjechać, wyraz



.. A kiedy dojeżdżała do rostajnych dróg — tam przystawały dworskie sanie.

ich twarzy był jak zawsze uroczysty, czekali cierpliwie... ale »jej« nie było jakoś widać. A przecież już chyba był czas... słońce stało nad wsią... może dziś spóźni się wyjątkowo? I stary Bryś siedział jakby na warcie, czekając, kiedy będzie mógł zaszczekać radośnie...

Pani nie nadjeżdżała.

— Wyjrzyjcie tam za zakręt! — wołali do dzieci.

Dzieci pobiegły... ale po chwili wróciły wolnym krokiem... nie zobaczyły dworskich sań... Co się stało? Zaniepokoiły się ludziska. Poczekali jeszcze chwilę, potem jeszcze jedną, aż słońce przeszło na drugą stronę nieba a pani nie przejechała.



... Posyłała im uśmiech.

Ze spuszczonemi głowali powracali do chat. Nie śmieli nic mówić, ani komentować nadzwyczajnego zdarzenia. Jakiś niepokój zawładnął niemi, nie mogli spokojnie pracować. Nie szło im jakoś. Brak uśmiechu i pozdrowienia pani był jakby chmurą, która im przysłoniła słońce.

Dzień im przeszedł nijako. Kiedy zaświecił blady księżyc, zobaczył jakiś cień skradający się między chatami, a potem jakąś postać, która biegła szybko gościńcem od strony wsi ku dworowi.

To rumiana Kasia, najbardziej kochająca swą dworską panią, leciała ku dworowi do-



Ludzie uważali sobie za obowiązek być o tej porze w oknie lub przy drodze...

wiedzieć się, czy się co złego nie stało. Kiedy już była blisko dworu, przystanęła myśląc, że jakżeż się zapyta o powód jej nie — przyjazdu... wszak mogła dziś jechać gdzie indziej... wolno jej... taka pani... A może jej odpowiedzą, że ją to nic nie obchodzi... ale skoro przebiegła taki kawał drogi, już była pode dworem... choć zajrzy przez okno. Właśnie w pokoju od werandy paliło się światło.

— A może »to« czego tak czekała pani



Pani nie nadjeżdżała...

codzień na dróg skrzyżowaniu, może już przyszło wreszcie?..

Weszła na werandę... cicho było... stanęła na palcach... i zajrzała do pokoju. Cóż to? To niemożliwe! Miłosierny Boże!

Kasia patrzała i nie wierzyła: Oto pani trzymała swą głowę w dłoniach i płakała ...

Kasia nie mogła dłużej patrzeć, ani nie chciała o nic pytać. Zeszła z werandy i zawróciła do wsi z głową spuszczoną od żałości.

Tej nocy spać nie mogła:

— Jakto? więc ta pani jest może nieszczęśliwa? dlaczego tak płakała? A może się dowiedziała, że »to« co przyjść miało — nie przyjdzie? Ona, Kasia, nigdy tak nie płakała, choć była tylko prostą, wiejską dziewczyną... a taka pani z pałacu miała swoje zmartwienie? Biedna pani!

Nazajutrz znowu w południe czekali ludzie we wsi na przejazd pani. I znów czekali napróżno. Ślady sań zniknęły zupełnie z gościńca...

Pani już nigdy przejechać nie miała...

Po paru dniach ludzie we wsi mówili, że pani umarła.

Podobno z tęsknoty... za czemś... czy za kimś...

*Jadwiga Hoesick — Hendrichowa.*

# Matka królów.

Warto może na chwilę uchylić rąbka historji i zmierzyć okiem tragiczną postać »Madame Letycji«, matki Napoleona.

Przez współczesnych była ośmieszana, jako stara, skąpa Korsykanka, truchlejąca z panicznego lęku przed swym wielkim synem. Dopiero po upadku Napoleona, przestaje żyć w cieniu historji — i staje się punktem koncentracyjnym, wokół którego skupia się cała rodzina Bonapartych.

Po zesłaniu Napoleona na wyspę św. Heleny Madame Letycja w towarzystwie swego brata, kardynała Fesch'a, zamieszkała w Rzymie, w pałacu Falconieri. Niepodobna opisać jej wszystkich starań i usiłowań, żeby dotrzeć na wyspę św. Heleny i podzielić los z nieszczęsnym samotnikiem. Najbardziej temu projektowi sprzeciwiał się sam Napoleon — nawet wobec matki nie tracił ambicji, nie chciał jej się pokazywać w stanie godnym pożałowania i litości — wzbraniał się przeciwko jej przyjazdowi, wolał zostawić w jej pamięci niezmącony obraz swej siły i potęgi. Rezygnując z jej obecności, godził się jedynie na przesyłki książek, ubrania, wina, kawy.

Jak dowodzą ostatnie badania historyczne, nieprawdziwe są plotki, jakie krążyły o stosunku Madame Letycji do swej synowej, Marji Luizy. Mówiono wtedy, że swiekra nie chciała przyjąć pod swój dach w Rzymie synowej, jako niegodnej intrygantki, włóczącej się po świecie, zamiast dzielić wygnanie z męczennikiem na wyspie św. Heleny. W rzeczywistości ani wtedy, ani później Marja Luiza, księżniczka Parmy, nie próbowała nawiązać kontaktu z matką swego małżonka.

Na dwa lata przed śmiercią Bonapartego, do pałacu Falconieri dostała się jakaś tajemnicza osoba (historycy twierdzą, że to agentka Austrji), która potrafiła swym mistycznym wpływem omotać zarówno Madame Letycję, jak i jej brata kardynała. Osoba ta rzekomo zapadała w trans i w uśpieniu odmalowywała życie Napoleona na wyspie św. Heleny, jako beztroski żywot w oazie szczęśliwości, gdzie wielki więzień miał się cieszyć najlepszym zdrowiem i pomyślnością. Przekonanie i wiara w zbawcze skrzydła aniołów, opiekujących się jej synem, uśpiły czujne serce matki. Aż wieść — żałobna — wieść z wyspy św. Heleny stargała tę siatkę złudy — puls człowieka, który wstrząsnął pulsem Europy, przestał uderzać. Bolesną wiadomość przyjęła Madame Letycja z dumą i godnością, równą dumie i godności utraconego syna — nikt, nawet z najbliższego otoczenia, nie widział łez, któremi opłakiwała swą stratę. W sobie stłumiła ból — z królewskiem dostojeństwem — prawdziwa matka królów.

Jako dokument jej godności pozostał list,

wystosowany do Anglji, na ręce lorda Castlereagh:

»Milordzie!

Osierocona matka Cesarza żąda zwrotu jego ziemskich szczątków z rąk nieprzyjaciół. Nawet w odległych czasach barbarzyńców nienawiść nie przekraczała granic trumny. Żądam popiołów mego wielkiego Syna, jako matka, która dała Go światu! Imię jego przetrwa wieki — lecz ja, jako matka, pragnę pochować te drogie szczątki w cichej kaplicy skromnie, bez rozgłosu i hołdów. W imię ludzkości i sprawiedliwości zaklinam Pana, Milordzie, a przez Pana Anglję całą, nie odrzucajcie mej prośby — w imieniu wszystkich okrytych żałobą matek błagam was — zwróćcie mi zwłoki mego Syna!«

List ten pozostał bez odpowiedzi.

Odtąd Madame Letycja żyła w całkowitem odosobnieniu — żyła wspomnieniami i nadzieją. Wspomnienia dotyczyły wielkich chwil dziejowych, które purpurowym trenem okrywały królewski płaszcz Napoleona — nadzieje zawisły na wnuku, na maleńkim »Królu Rzymu«. Wszystkie oszczędności składała dla tego dziecka, które znała niemal tylko z portretów — chciała wnuka uczynić jedynym spadkobiercą. Nie wątpiła, że prędzej czy później syn wielkiego ojca wskrzesi tradycje Bonapartych. Zamknęła się w swoim pałacu, opuszczając jego ściany jedynie dla spacerów, do których sposobność nastręczały piękne ruiny Rzymu. Gdy wypadło jej zetknąć się z francuskimi turystami, mówiła z nimi bez goryczy o Francji, ale i nie zdradzała się z ukrytemi nadziejami. Natomiast za żadną cenę nie można jej było nakłonić do zawarcia znajomości lub przyjęcia w swych progach Anglików. Wyjątek stanowiła Lady Douglas, której mąż był stronnikiem Napoleona.

Czas w domu spędzała najczęściej przędząc na kołowrotku. Lata nie zatarły jej urody, zmarszczki nie wyżłobiły jej twarzy, o szlachetnym tonie kości słoniowej. Żółtawa bladość cery nadawała jej wyraz nieżywotny, podobny do posągów, które ją otaczały i które ostatnio oglądała raczej oczami wyobraźni, niż źrenicami, powleczonemi bielmem katarakty.

Dobiegła sędziwej starości — wypadek, który spowodował złamanie nogi, zmusił ją do utrzymywania na stałe pozycji siedzącej. Ale umysł jej aż do końca pozostał świeży i niezaćmiony. Rewolucja w roku 1830 wzbudziła w niej nowe nadzieje — niemałym wstrząsem była dla niej wizyta Prokesch — Osten'a, który był serdecznym przyjacielem ks. Reichstadtu. Ostatkami sił wsparła się Madame Letycja na kulach i, kładąc dłonie na głowie młodzieńca, rzekła:

— Ponieważ mego błogosławieństwa nie mogę oddać memu wnukowi bezpośrednio, oddaj mu ty, młodzieńcze, błogosławieństwo babki, stojącej nad grobem. Modlitwy, łzy, błagania o jego pomyślność będą mi towarzyszyć do ostatniego tchnienia. Powierzam ten depozyt twoim rękom i twojemu sercu!«

Niestety, po kilku dniach od tej wizyty przyszedł list od Marji Luizy — pierwszy list do swiekry! — donoszący, że »Orlątko« dokonało krótkiego żywota w Schönbrunie.

Wszystkie nadzieje babki zgasły, wszystkie łzy zostały przelane. Nie pozostało już nic innego, tylko wyczekiwać śmierci. Madame Letycja poddała się temu oczekiwaniu z rezygnacją.

Dnia 29 lutego r. 1836 umarła matka Napoleona, w osiemdziesiątym szóstym roku życia. Początkowo została pochowana w Rzymie, dopiero w lipcu r. 1851 zwłoki jej i brata kardynała Fesch'a przewiezione zostały do Ajaccio, gdzie po sześciu latach Napoleon III wybudował mauzoleum rodziny Bonapartych.

Śpi »Madame Letycja« niezmąconym snem pod płytą z czarnego marmuru, w otoczeniu prochów Napoleonidów — ale brak wśród nich największej gwiazdy z tej konstelacji. Na grobie jej wyryto słowa: »Mater Regum« (wystarczyłoby tylko pierwsze: Mater). Przedewszystkiem była kochającą matką i ten tytuł zachowa na zawsze w pamięci potomnych.

*Marzenna Saryusz-Stokowska.*

# *Filozofja śniegu.*

*Patrzę w zaśnieżony sad...*
*Biały jak... jak... porównania,*
*przenośnię, uosobienia...*



*wraz się jakiś tworzy świat:*
*sytuacje, zagadnienia,*
*rozwiązania...*

— — — — — — — — — — —

*„Dramat tworzysz!“*

— — — — — — — — — — —

*Czemu, dokąd, skąd i poco?* —
— *na śniegu czernieją pytania.*
*A wtem mały, szary ptak*
*na gałązce zatrzepotał,*
*sfrunął, skrzydłem zafurkotał*
*i na głowę zamyśloną*
*sypnął śniegiem...*
*Co, skąd, jak?...*
— *Wszak to śnieg dziś w nocy spadł!...*
*Sam się w śnieżki w dłoniach lepi,*
*Pierzchną myśli: było lepiej...*
*...będzie lepiej...*
*Gdzieś z za węgla kształt majaczy...*
*Fiuuut... i czapę już ma białą.*
*Sroga mina — nos czerwony...*
— *Pocoś wlazł w biały sad*
*zaśnieżony?*
*Spójrz dziś w nocy śnieżek spadł!*
*...urok śniegu, urok bicia,*
*urok życia,*
*dziś jest filozofją lat!*

*Ina Unkiewicz „I“.*

# Nasz sztandar.

»W niedzielę poświęcenie naszego sztandaru!« — padają słowa Matki Dyrektorki w tłum zaskoczonych tą wiadomością twarzyczek.

»Już w niedzielę! — Mówiło się dużo i słyszało w szkole o sztandarze, radziło się nad hasłem i projektami — ćwiczyło się śpiewy od tygodni — a tymczasem to już .. w tę niedzielę poświęcenie. Sztandar zaczyna przybierać realne kształty — staje się rzeczywistością.

»Szkolny sztandar« — jakieś nowe pojęcie wkrada się w naszą świadomość; — właściwie cóż wielkiego taki sztandar? zasadniczo każda szkoła, każda lepsza organizacja ma własny sztandar, z którym chodzi się na pochody, uroczystości...

Tak się rozumowało a nawet mówiło! Ale jednocześnie jakieś ogromne, niezrozumiałe wzruszenie ściska serce: nareszcie będziemy miały »nasz własny sztandar«! Słowa te nabierają specjalnego znaczenia, gdy się je powtarza w myśli, ot tak dla siebie.

»Nasz sztandar!« — to ta szeroka wspólnota naszych własnych myśli, dążeń i ideałów — to nasza nowa szkoła!

Kaplica...

Wzruszone patrzymy z chórku na tłumy osób, zaproszonych gości. W tej chwili gnębi nas tylko jedno »poważne« zmartwienie: »żeby tylko ten śpiew wypadł dobrze! przygotowywałyśmy się tak długo!

»Chciałabym, aby było już po wszystkiem!« słychać głębokie westchnienie.

W półmroku kaplicy, w migotliwem świetle świec skrzą się złote zgłoski wyrytych na sztandarze haseł. Znamy je tak dobrze! przecie same sobie obrałyśmy te hasła, którym chcemy służyć, same ustanowiłyśmy te wytyczne, któremi chcemy się kierować teraz w szkole i potem... i zawsze!

»Deo, Reipublicae, et Scientiae!« rozbrzmiewa głęboko w duszy.

— — — — — — — — —

Koniec mszy św., nerwowe czekanie na

przybycie JE. ks. Arcybiskupa. Znowu troska: »żeby tylko na czas zacząć śpiewać!«

Wchodzi ks. Arcybiskup.

»Ecce Sacerdos Magnus«... płynie szeroką falą z chórku.

Brzmią łacińskie słowa poświęcenia sztandaru... przemowa i błogosławieństwo pasterskie.

— — — — — — — — —

Wręczenie sztandaru w auli. Na wszystkich twarzach widać ten wyraz skupionej powagi i wzruszenia.

Przemawia Matka Dyrektorka, wszystkie oczy nieruchomo wpatrzone...

Padają mądre, dobre słowa, które przyjmujemy głęboko w serca.

»W wasze ręce oddaję ten sztandar, symbol waszych najgłębszych i najwyższych ideałów"...

Czujemy się w tej chwili jedną wielką rodziną, której tak dobrze razem! Zdajemy sobie sprawę jak bardzo, jak serdecznie łączą nas nasze obowiązki, drobne zmartwienia i nasze radości...

Przewodnicząca Samorządu głównego przyjmuje z rąk Matki sztandar i w naszem imieniu składa ślubowanie.

Wobec naszych rodziców, grona Nauczycielskiego i Boga ślubowałyśmy, że stać będziemy mężnie i wiernie na straży naszych ideałów, że iść będziemy przez życie jako pionierki w zdobywaniu tych najwyższych wartości, które symbolizuje nam sztandar, w służbie Bogu, Rzeczypospolitej i Wiedzy.

»Ślubujemy!« — powtarzamy chórem i jasno zdajemy sobie sprawę, **że to co wczoraj jeszcze było możliwością dziś staje się obowiązkiem**! Przez tę jedną chwilę ślubowania zdawało się nam, że nie jesteśmy już w szkole, ale tam, **w życiu**, wysiłkiem woli zdobywamy wyżyny.

*Hala Hordtówna* kl. VII.
*Lwów, Gimn. SS. Urszulanek.*



Tu na auli odbyło się poświęcenie naszego sztandaru. — (Gmach na ukończeniu).

# Warszawska szkoła pielęgniarek.

W kraju, gdzie gruźlica zmiata corocznie tysiące ofiar, gdzie armja miljonów mieszkańców jest pozbawiona należnej im opieki sanitarnej, nawet tej najelementarniejszej, jaką ma każdy żołnierz w polu czasu wojny, gdzie jaglica u dzieci proletarjatu jest przy-



Wizyta słuchaczek z lekarzami w klinice.

padłością niemal równie pospolitą, jak katar u dzieci inteligencji, gdzie znachorstwo kwitnie tuż za progiem stolicy — w takim kraju zadanie pielęgniarki, higienistki i opiekunki zdrowia urasta do wysokości posłannictwa.

Nie chodzi tu bowiem jedynie o doraźną pomoc, czy opiekę podczas choroby w szpitalu, lub w domu prywatnym, ale o stałą akcję zaszczepiania szerokim warstwom najprostszych zasad higieny i czystości, wdrażania ich do kultury fizycznej.

Pielęgniarka, czy społeczna opiekunka zdrowia dotrze tam, dokąd lekarz niezawsze dotrzeć może — aż na samo dno nędzy i opuszczenia: tam, gdzie bije zatrute źródło wszystkich chorób świata. Oczyścić to źródło i unieszkodliwić jady, odwrócić ostrze zła przeciw niemu samemu, nietylko ulżyć cierpieniom istniejącym, ale zapobiec tym, których można uniknąć, nietylko otrzeć śmiertelny pot z czoła umęczonej ludzkości, ale krople tego potu zmienić w ożywczą rosę na kiełkujące jutro — oto zadanie pielęgniarki przyszłości, tej nowoczesnej świeckiej misjonarki zdrowia, którą przez dżunglę ludzką poprowadzi ten sam ideał Chrystusowy, jaki jej nieustraszonej siostrze zakonnej przyświeca w puszczach tropikalnych i tundrach podbiegunowych.

Żeby temu zadaniu sprostać, trzeba mieć pod skrzydlatym czepeczkiem dobrze działający i naoliwiony mechanizm mózgu, a pod śnieżnym fartuchem pielęgniarskim — mocno i równo bijące serce. Mam wrażenie, że na pielęgniarki powinny iść jednostki o typie głowy t. zw. »otwartej«, do której z łatwością znajdą dostęp i przesączą się te wszystkie strumienie wiedzy i techniki zawodowej, z jakich ma czerpać w ciągu ośmiu miesięcy wykładów teoretycznych i dwudziestu ośmiu miesięcy praktyki w klinikach.

Umiejętny dobór kandydatek, pod kątem widzenia zdolności, jest niewątpliwie sprawą ważną, ale nie najważniejszą. Umysł można zawsze rozwinąć drogą kształcenia. Inaczej — serce. Z sercem człowiek się rodzi. Serce u pielęgniarki — to słońce w systemie planetarnym, około którego wszystko się obraca. Wola powinna regulować tempo tego serca; rozum powinien dać mu właściwy kierunek. Tu nie może wchodzić w grę chwilowa egzaltacja, poryw marzycielstwa, doraźny wybuch sił fermentujących, sił młodości. Na podbój świata od strony jego najbardziej zagrożonego frontu trzeba iść z mia-



Praktyka słuchaczek w klinice.

rowym, normalnym pulsem. Stały, równy, niesłabnący zapał musi być rozczynem, na którym wyrośnie chleb pielęgniarski.

Polska w chwili obecnej potrzebuje tysięcy pielęgniarek. Warszawska Szkoła Pielęg-

niarstwa (przy ul. Koszykowej 78) obliczona jest na 120 uczenic. Oprócz tego na przestrzeni całej Polski istnieje jeszcze sześć szkół pielęgniarskich. Jest to niewątpliwie kropla w morzu — ale przypomnijmy sobie na pociechę, że właśnie krople drążą skały. To



Słuchaczki na sali wykładowej.

porównanie przyszło mi na myśl, kiedy zwiedzaliśmy tłumnie dom pielęgniarek. Snuły się obok nas bezszelestnie te kropelki szare, perłowe, śnieżno-białe — oprowadzały po salach wykładowych, pracowniach, pokoikach mieszkalnych, tarasach. Udzielały objaśnień krótkich, zwięzłych, rzeczowych, pełnych tego wdzięku, jaki daje prawdziwe umiłowanie swego zawodu.

Ale pozatem promieniowało z nich coś, co zrozumiałam dopiero wtedy gdy znalazłam się znowu w gwarze i zamęcie ulicy. To była dusza tego domu. Ona czyni zeń jakiś inny, lepszy świat. Ona, od piwnic do tarasów na dachu napełnia go czarodziejskim płynem: substancją pogody, ciszy, skupienia, kojącą jak balsam. Niewidzialna, żyje w każdym, pozornie martwym przedmiocie.

Już od progu ogarnia przybysza swoista atmosfera wnętrza, z której narazie nie może sobie zdać sprawy. W pierwszym momencie doświadcza się wrażenia niesłychanego komfortu. Dopiero po chwili przychodzi opamiętanie, że przecież tych kilka klubowych foteli w »salonie«, parę sztychów na ścianach, doniczki z kwitnącemi roślinami w oknach, haftowane serwetki na stolikach — to przecież nie zbytek, to estetyka prostoty, niemal że ubóstwa. Tylko my tak już przywykliśmy do wypłowiałych (dobrze, jeżeli nie brudnych i obdartych) tapet, do okopconych przez dymiące piece sufitów, do opadającego tynku, niechlujnych klatek schodowych, wnętrz, w których jest duszno od natłoku niepotrzebnych ludzi i niepotrzebnych gratów — że racjonalne zużytkowanie przestrzeni, gładkość ścian i ścisła celowość sprzętów sprawia na nas wrażenie odświętne, niemal ceremonjalne. I człowiek nie wierzy własnym oczom, ale musi wierzyć faktom, że tak jak jest, jest na codzień, bo przecież ten dom od lat kilku już jest zamieszkały.

Co zeń czyni mały Eden schludności i pogody? Czystość i ład, prostota i słońce. O tym domu nie można powiedzieć, że jest znakomicie sprzątnięty, że jest wzorowo utrzymany: on jest poprostu wydmuchany. Kurz skazano w nim na bezpowrotną banicję.

Mała armja pielęgniarek sprawna jest i karna, choć w jej rozmieszczeniu szczęśliwie uniknięto skoszarowania. Dwuosobowe pokoiki dla młodszych, pojedyncze dla starszych uczennic dają niewątpliwie możność pewnego zindywidualizowania się i wewnętrznej swobody. A przytem to poczucie, że się jest u siebie, w swoim własnym pokoiku. Niejedna panienka z tak zwanego inteligentnego domu z westchnieniem tajonej zazdrości rzuci okiem na białe gniazdka,



Słuchaczki w czytelni szkolnej.

z których co roku wyfrunie stadko skrzydlatych czepeczków na podbój cierpienia czynem radosnym. *M. S. S.*

**Od Redakcji.** Następny artykuł, podający fachowe wiadomości o pielęgniarstwie, ukaże się w niedługim czasie.

# Zapach chleba.

Karlik zbudził się znienacka. Otworzył oczy, spojrzał. Słodki ciężar leżał na powiekach. Zamknął je spowrotem, pozwolił się ogarnąć senności. Wspomnienia ubiegłych chwil jęły się zbliżać. Jak dobrzy ludzie idący na palcach w miękkich, filcowych pantoflach.

Jakie to wszystko było dziwne?

Chociażby ten stary, łysy pan Przybyła. Wstąpił do izby, pociągnął wzruszony przez nos, wytarł dłoń do fartucha na wielkim brzuchu i podał ją nieśmiało. Albo ten Zembol. Postarzał się mocno. Szczerbaty, żółty na twarzy, chudy o długiej, cienkiej szyi. Grdyka latała mu śmiesznie, kiedy stanął przed nim.

— Kopę lat!.. Kopę lat!.. — mruczał również wzruszony.

— A co tasiemiec, panie Zembol?

— Jeszcze bestja nie zdechła!.. Wciąż siedzi w brzuchu i zjada mi zdrowie!

— Panie sąsiedzie!.. Radzę dobrze! Nieobieranego śledzia trzeba zjeść, prosto z beczki i zapić kwaśnem mlekiem! — dudnił basem pan Przybyła, rad, że może w ten sposób ukryć swoje wzruszenie.

Pani Zembolowa stała się mniejsza, krótsza i szersza. Głaskała Karlika po głowie, uśmiechała się przymilnie i zapraszała do paradnej izby.

— Tu się, panie Karliczku, proszę rozgościć!.. Oto na tej kanapie!.. No, proszę bardzo, bo się będę gniewała, co się zmieści!..

Stara Kaszubina nie wyszła.

— Gdzie jest Kaszubina, mamo?

— Umarła, synku mój złoty, umarła!.. — mówi matka i połyka łzy.

— A Cmok? Jeszcze żyje?

— O żyje, żyje!.. Tylko jego żona słabuje!.. Może niezadługo pójdzie.

— Dokąd?

— Tam!.. — mówi matka i wskazuje dłonią w niewiadomym kierunku.

Przyszła pani Krupowa. Poczerwieniała na twarzy, posiwiała zlekka, lecz trzyma się krzepko. Ogląda Karlika, dotyka dłonią, obchodzi, jakby się przekonać chciała, że to istotnie Karlik.

— Mój Boże, ale urósł synek!.. Anibym nie była pomyślała!.. A jeszcze pamiętam, jakby to wczoraj było, gdyśmy szli z tą wiewiórką do umierającego Lebiedzika. Mój Boże, jak się to wszystko na świecie zmienia... — i wyciera z hałasem nos do fartucha.

— A Robert?

— Hale, moja duszyczko złota!.. Robert się ożenił, ma już dwie dziewczynki. Wandę i Zosię!.. Mój Boże na świecie!..

— A wiesz, Karliczku... — zawołała z podświadomem uradowaniem, że może się pochwalić niezwykłą nowiną. W tej samej chwili ugryzła się za język. — Wie pan, panie Karliku — poprawiła się — kto ukradł słoninę na stryszku?

— Kto?

A ten Cmok! Coś tam poszło o jajka i moje kury, a wtedy on wywołał. Ze złości.

Karlik przypominał sobie, o jakiej to słoninie opowiada. Nie mógł sobie przypomnieć, lecz żeby nie psuć zadowolenia pani Krupowej, udawał, że wie.

Przyszedł także pan Wawrzyczek. Gruby, z wielkim brzuchem, sapiący, z cygarem w zębach. Wtoczył się do paradnej izby pana Zembola, siadł ciężko na krześle, a nie wyjmując cygara z ust, jął łypać oczami i sapać. Wszyscy obecni umilkli, bo nie wiedzieli, po co przyszedł. On zaś pragnął odpocząć na chwilę.

— No, winszuję panu, panie Otremba! — rzekł wkońcu, podając Karlikowi grubą, tłustą dłoń.

— Dziękuję, panie zarządco! — odparł sucho Karlik.

— No, to teraz pan będzie inżynierem, co?

— Będę.

— Hm, hm... Świat się do góry nogami wywraca... A gdzie pan będzie inżynierem, co?

— Przy budowie zapory wodnej na Sole.

— Jest to fixum locum?

— Fixum locum!

— Hm, hm... Ktoby pomyślał?

Spocone czoło lśniło się w świetle lampy, cygaro chwiało się niedbale w grubych wargach, on zaś sapał i kiwał głową powątpiewająco.

— Hm, hm! A proszę mnie kiedy odwiedzić!.. — rzekł jeszcze i wyszedł. — Ktoby pomyślał? — mruczał po drodze.

Wszyscy poszli. Została tylko matka. Drobna, skurczona, o płonących, niebieskich oczach. Rozmawiali o wszystkiem, co już było poza nimi. Głos jej raz po raz załamywał się, utykał. Wtedy podnosiła dłoń i powoli kładła ją na serce.

Róże czerwieniły się w glinianym dzbanku. Szedł od nich blask i zapach dalekiego świata. Kiedy je Karlik wręczał matce i mówił, że to od panny Kazi wraz z pozdrowieniem, matka zawahała się. Wzięła róże, lecz trzymała je niepewnie. Jakby jej wypaść miały z dłoni.

— Od jakiej panny Kazi? — spytała. Karlik powiedział.

— A jest dobra?

— Tak, mamo.

Matka zasępiła się na drobną chwilę. Coś myślała z niepokojem. Potem wypogodziła oczy.

— No, dobrze! — rzekła. — Jeżeli jest dobra, to dobrze!..

Długo w noc paliła się lampa nad stołem. Matka siedziała w krześle, słaba i jakby niewierząca szczęściu. Dłonie trzymała złożone na kolanach. Słuchała Karlika.

Karlik patrzał w matkę. I wtedy dojrzewało w nim przekonanie, że zamknęły się za nim jakieś ciężkie wrota. Przypomniała mu się tamta szczelina w chmurach, wypełniona błękitem i rąbkiem słońca. Uśmiechnął się. Matka również się uśmiechnęła. Wyciągnęła do niego dłonie. Ciężyły jej, więc oparła je na stole przed Karlikiem. Karlik ujrzał w nich tamten cały świat, co pozostał za ciężkiemi wrotami.

— No, idź już spać synku, idź!.. — rzekła.

Karlik poszedł spać do paradnej izby pana Zembola.

Pan Zembol tłumaczył, dlaczego wysłał list. Matka nie chciała, lecz on to uczynił bez jej wiedzy.

— Przychodzą na nią jakieś mdłości... Wie pan, panie Karlik. To coś z sercem ma do czynienia. No, mój Boże. Tyle lat, tyle pracy!.. Serce jest stare, już nie chce być zdrowe. To nic dziwnego. Miała atak, więc pomyślałem, trzeba napisać. I napisałem. Adres miałem, bo mi go matka dała, kiedy pan pisał list do niej z tamtego dworu. Myślałem, już matka kaput. Ale Bogu dzięki, jakoś przeszło. Teraz stare matczysko jest szczęśliwe...

Zamyślił się, grdyka poruszyła się na długiej szyi.

— Mój Boże!.. A ja... a ja tysiąc złotych dałbym, żeby mój tasiemiec był już kaput!

Karlik pocieszył pana Zembola. We Lwowie poznał jednego zdolnego i mądrego lekarza. Ten lekarz otruje jego tasiemca. Pan Zembol rozpłakał się wzruszony.

— Naprawdę? Naprawdę? — upewniał się ustawicznie.

— Ależ tak!.. Dam adres panu, napiszę do owego lekarza, i zobaczy pan, że tasiemiec zginie...

— Tysiąc złotych dam... tysiąc złotych!.. — mruczał uszczęśliwiony pan Zembol, lecz Karlik już nie słuchał. Zasnął, zaledwie przyłożył głowę do poduszki. Lecz rychło obudził go pan Zembol.

— Panie Karliku!... — szeptał podniecony. — Matka pana nie będzie już mieszkała w kuchni. Ten pokój jej odstąpię. Panu i matce pana. Już dzisiaj. Teraz jeszcze!... — i popędził do kuchni po matkę.

Matka wzbraniała się, lecz pan Zembol nie ustąpił. Przenoszenie się matki z wielu drobiazgami trwało długo. Potem pan Zembol, podskakując zabawnie z radości, poszedł do drugiej izby, matka zaś nasypała mąki do dzieży, przyniosła letniej wody w dzbanku.

— Co to robisz, mamo? — zapytał senny Karlik.

— Chleb dla ciebie, synku! Chleb! — szeptała matka.

Karlik zasypiał, kiedy przyszła jeszcze pani Zembolowa. Kazała matce usiąść, a sama wzięła kopyść i jęła miesić ciasto.

— Spocznijcie sobie, spocznijcie!... — mówiła. — Ręce was bolą!

Matka usiadła na ławie obok dzieży, a pani Zembolowa jęła borykać się z kopyścią.

Po izbie rozszedł się kwaskowaty, miły zapach ciasta.

— Czemu dzisiaj zabraliście się do tej pracy? — pytała zasapana.

— Bo chcę dla mojego synka chleb upiec. A rano piecze pani Krupowa, więc przy tej sposobności swój upiekę.

Pani Zembolowa poszła. Matka nachyliła się nad dzieżą. Karlik patrzy na nią przez niedomknięte rzęsy. Widzi jej błękitne oczy, jakby nieco wypłowiałe, widzi jej twarz pomarszczoną, zwiędłe usta, a na ustach uśmiech ciepły i cichy. Matka patrzy na ciasto w dzieży, szepce jakieś słowa. Święte to widać słowa, bo je wymawia powoli, ostrożnie, z nabożeństwem. Teraz z pod powiek wybłysła łza jedna i druga. Trzepocą się na koniuszkach rzęs. Spadła pierwsza. W chwili kiedy matka czyniła na powierzchni ciasta krzyż kantem dłoni, łza spadła w wyżłobienie krzyża. Matka cofnęła się. Wtedy druga łza spadła. Rozprysła się na jej dłoni.

Zapach ciasta rozpływa się stopniowo, sen kładzie mrok na Karlikowe oczy i myśli.

W nocy śnił o tamtej dziewczynie. Podawała mu bochenek chleba na białej dłoni. Bochenek był duży, a dłoń była mała i wąska.

— Niech pan weźmie na drogę!... — rzekła i poszła uśmiechnięta.

Skrzypnęły drzwi za dziewczyną. Karlik zbudził się otworzył oczy. *C. d. n.*

# *Lublin od Alei Marszałka*

*Lublinie tkwiący po kolana w pagórkach,*
*Lublinie zagubiony po pas w zieleni!*
*Jakiem słowem wysłowić ciebie,*
*gdy dusza rośnie widokiem twym*
*i niebem.*
*Wybiegły naprzeciw pstromiłe budynki,*
*trzęsą płową czupryną dymiących kominów,*
*biją radosną gamą w oczy,*
*tańczą barwami, grają i krzyczą,*
*Lublinie!*
*Skąpani w słonecznej ulewie*
*ty i ja*
*i wszyscy*
*wiążemy się codziennie*
*błękitną wstęgą Bystrzycy.*
*Lublinie tkwiący po kolana w wysokich pagórkach,*
*Lublinie zagubiony po pas w bujnej zieleni!*
*Wchłaniam cię w źrenice, ogarniam ramieniem,*
*gdy dusza rośnie rozhukanym dzwonem!*

*Kazimierz Lipski stud. K. U. L.*

# Z walk w Karpatach.

— Pojechałyśmy na wycieczkę do Rafajłowej. Jest to maleńka, biedna wioszczyna, typowo huculska, z niskiemi, ciemnemi chatami... Zieleń świerkowego lasu otacza głęboką kotlinę. Jeszcze dziś czuję jego wonny, ożywczy zapach i... jeszcze dziś widzę krzyż — olbrzymi, wysoki krzyż na zielonej podstawie polany, ciemnemi ramionami rozdzierający błękit. Krzyż legjonów...

»Młodzieży polska patrz na ten krzyż
Legjony polskie dźwignęły go wzwyż,
Przechodząc lasy, góry i wały
Dla Ciebie Polsko i dla Twojej chwały!«

Krótki, zwięzły napis, a jednak ile w nim treści, ile głębokiej, szczerej i prostej prawdy: Dla Ciebie Polsko!...

Wtedy, dawno, już pewnie dwadzieścia lat temu szli tędy oni, legjoniści w tru-

dzie i znoju, obdarci, biedni, nie poto, by zdobyć sławę, lecz Wolność!

Ta ziemia przesiąknięta nawskróś krwią ojców i braci, kryjąca w swem wnętrzu zwłoki poległych bohaterów, winna być i jest naszą drogą spuścizną, spuścizną tem droższą, że krew legjonistów, niezawsze przelana w boju zwycięskim, zawsze była oddana bez najmniejszego wahania!



Rafajłowa — Leśniczówka na tle Maksymca.

Nadwórna to centrum walk legjonowych. Krwią polskich żołnierzy spłynęły pola, dokoła niej leżących wsi: Mołotkowa, Pasiecznej, Hołodyszcza, Rafajłowej, Zielonej, Pniewa... A przecież tu walczyła garstka przeciw tysiącom, bo główna część II-giej Brygady szła przez Bukowinę pod dowództwem generała Durskiego. Legjoniści połączyli się dopiero w Kołomyji, nie wyczerpani wprawdzie moralnie, lecz jakże nieludzko zmęczeni! Za nimi pozostały zroszone krwią pola Kirlibady, Łopuszny, Śniatyna, Bratyszowiec, Niżniowa, Jezupola, a teraz, cóż będzie? Zamknięci w Kołomyji, doskonale ufortyfikowani, bronią się zaciekle.

»Nie damy Moskalom tego, cośmy z takim trudem zdobyli!« Nie dali. Cofnęła się wielotysięczna armja, zostawiając w mieście garść szaleńców, których zgnieść nie mogła.

Odpoczynek na Bukowinie... potem znów nowa ofenzywa. Dubowce, Zadobrówka, krwawa szarża pod Rokitną... Wreszcie Wołyń. Połączone dwie brygady wspólnie tu krew przelewały. I znów pełen niepokoju wypoczynek na Litwie.

Czy jeszcze długo, czy długo będziemy walczyć o Polskę? — czy nie odbiorą nam polskich sztandarów?...

Po przybyciu do Przemyśla budzą się z ciężkiego, przytłaczającego snu. Jakto, my II-ga Brygada z Austrją? My, Polacy? Nigdy! Jesteśmy i musimy być wojskiem polskiem! Na północ, na północ, do Dowbora Muśnickiego, do I-go Korpusu polskiego!

Rarańcza... olbrzymie straty... trzydniowy bój pod Kaniowem, krwią zlane pola... wspólne mogiły... więzienia zapełniają się »zdrajcami stanu«. Jeńców zamykają Austrjacy w Maramerosz-Szigeth. Ci, co zdołali ujść z pod Kaniowa ruszyli bądźto do generała Żeligowskiego do Odessy, bądźto na północ przez Murmań, do Ojczyzny. Dali początek wojsku odrodzonej Polski.

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

A dziś na każdym kroku spotykamy



Krzyż legjonów na przełęczy Pantyrskiej.

ślady Ich bohaterstwa. Proste krzyże znaczą ich mogiły, a nad wszystkiemi góruje ten jeden, olbrzymi na przełęczy Pantyr.

*H. Weisówna*
*kl. VII. gimn. N. 668. w Stanisławowie.*

# Bój żabiomysi.

(dokończenie).

*W brzuch Rechocjana ugodził Łuszczybochenek, a tamten*
*Piersią uderzył o ziem i duch uleciał mu z członków.*
*Jęknął boleśnie Rzepacy i ostrze dzidy trzcinowej*
*W miękki pchnął kark Jamoluba; a ten padł martwy natychmiast.*
*Ów zaś dzidę wyszarpnął mu z ciała. Skoro znów zoczył,*
*Że Gryzikorzeń ucieka, na brzeg wpadł za nim wyniosły —*
*I nawet w stawie, wśród wód, nie poniechał go: włócznią nań cisnął.*
*Padł Gryzikorzeń bez życia nawznak, w jelita ugodzon*
*Tłuste, i krwią purpurową zabarwił wodne odmęty;*
*Wnet go fala na brzeg wyrzuciła. Tymczasem opodal*
*Żgnął Drążysera oszczepem Radosław i ściągnął zeń zbroję.*
*Szperkopasa ujrzawszy, okrutnie się strwożył Szuwary,*
*Skoczył skwapliwie do stawu i tarczę porzucił w ucieczce.*
*Już Ryjedziurę zabija Bagnold, rycerz bez skazy;*
*Król Liżysadło zaś pada, przez Wodomiła rażony*
*W czoło kamieniem — i oto mózg nieszczęśnika wycieka*
*Nosem, a ziemia dokoła posoką jego zbroczona.*
*Cnego Bagnolda znów życia pozbawił bohater Miskoliż:*
*Dzidą weń cisnął a temu wraz mrok otulił powieki.*
*Lecz zabójcę zobaczywszy, za nogę go powlókł Szczypioryn*
*Aż do stawu, ułapił za szyję, udusił, utopił.*
*Stanął Liżylamp w obronie zwłok druha i pchnął Szczypioryna*
*W brzuch oszczepem aż w samą wątrobę; a ten mu przed stopy*
*Runął na ziemię, zaś duch w krainę Hadesu uleciał.*
*Na ten widok Kapuściej na Liżylampa się porwał,*
*Grudą błota uderzył go w czoło i prawie oślepił.*
*Gniewem tamten zapałał straszliwym; więc w tęgą prawicę*
*Głaz chwyciwszy potężny a ciężki, co ziemię przygniatał,*
*W nogę wroga ugodził i prawą goleń mu strzaskał:*
*Padł Kapuściński nawznak i w pyle legł, pokonany.*
*Zemsty zapragnął Skrzeczecha i ruszył przeciw zwycięscy;*
*Dzidą się nań zamierzywszy trzcinową, w sam brzuch go utrafił*
*I pogrążył ją wgłąb; a kiedy krzepkiem ramieniem*
*Włócznię z ciała wydzierał, wraz z nią i jelita wyszarpnął.*
*Druha zgon Jamokryjek z nad brzegu rzeki zobaczył*
*I znękany na duchu jął z boju się cofać, kulejąc, —*
*Wreszcie do rowu skoczył, by lutej śmierci uniknąć.*
*Już i król Odmigęba otrzymał cios w koniec stopy*
*I na ziemię padł nawpół żywy: poraził go oto*
*Cny Gryzichleb i rzucił się nań, by dobić rannego;*
*Szczypiór wszelako, gdy ujrzał, że jego król ledwie dyszy,*
*Przez szeregi się przedarł i cisnął oszczep na wroga;*
*Lecz Gryzichleba tarczy nie przebił: utkwiło w niej ostrze.*
*Także szyszaka zacnego, o czterech kitach, nie zdołał*
*Strzaskać boski Majeran, idący w ślady Aresa,*
*On, najmężniejszy wśród żab, jedyny prawdziwy bohater.*
*Runął nań tłum nieprzyjaciół; więc nie mógł pola dotrzymać*
*Tylu potężnym herosom i skrył się w stawu głębinach.*

*Był pośród myszy młodzianek, waleczny jak nikt, Łapikruszek;
Zrodził go Skrobert, przemyślny węszychleb, wojownik bez skazy.
Ten, porzucając plac bitwy, polecił walczyć synowi.
Młody więc groźby jął miotać, że w pień wytraci ród żabi;
Zaczem orzech rozłupał na pół i w puste łupiny
Włożył oba kułaki, do boju na pięści się zbrojąc.
A gdy się zbliżał do wrogów, wojenną gorzejąc ochotą,
Żaby w strachu okrutnym do stawu zemknęły pospołu.
Byłby też groźbę swą spełnił, bo srogą w ramieniu miał siłę,
Gdyby wszystkiego nie widział śmiertelnych rodzic i bogów.
I ulitował się Zeus i zbawił żaby od zguby.
Głową boską potrząsnął i w te odezwał się słowa:*

*„Nieba, straszną to rzecz oglądają me oczy! Niemałą
Ten Łapikruszek mnie grozą przejmuje, bo oto u stawu
Odwet bierze zbójecki i mści się na żabach nieszczęsnych.
Dalej więc, niechaj tam mknie wojownicza Pallas lub Ares,
Niech go odciągną od walki, choć tęgi i chrobry to rycerz".*

*Tak powiedział Kronida, a Ares mu na to odrzecze:
„Ani Ateny moc ani moja, Kronido, nie starczy,
By oddalić od żab okrutną zagładę; lecz razem
Wszyscy im śpieszmy na pomoc. Albo też raczej twój pocisk,
Którym już raz wygubiłeś najsroższych z twych wrogów, Tytanów,
Ciśnij, Zeusie, na myszy: dosięższesz, co najdzielniejsze".*

*Skończył Ares, a Zeus pochwycił piorun ognisty.
Najpierw gromem zahuczał, aż wielki zatrząsł się Olimp.
Potem zaś rzucił piorun z zamachem; — i wypadł straszliwy
Pocisk z prawicy mocarza. Zadrżały wojska obydwa.
Ale i tak nie spoczęły zawziętych myszy zastępy:
Jeszcze mocniej tuszyły, że zniszczą rycerskie żab plemię.
Jednak z wyżyn Olimpu zmiłował się Zeus nad żabami:
Oto w godzinie zagłady corychlej odsiecz im posłał.*

*Więc zjawili się nagle ci zbawcy: na grzbietach szerokich
Pancerz błyskał a skóra ich była, jak twarda skorupa;
Zbrojni w krzywe nożyce, w sterczące macki, szczerzyli
Pyski w kształcie obcęgów; na ośmiu koślawych odnóżach
Skośnym szły krokiem te stwory kościste, a z głów zezowate
Ślepia sterczały złowrogo. Słowem — były to raki.
One więc myszom zaczęły ciąć nogi, ogony i ręce,
Nie przepuszczały też włóczniom, lecz gięły je. Biedne zaś myszy
Trwoga zdjęła i pola dotrzymać nie mogły: uciekły.
Właśnie szedł wieczór i wraz jednodniowa skończyła się wojna.*

*Przełożył z greckiego: Ignacy Wieniewski.*

# Solski we Lwowie.

Solski naprawdę był we Lwowie, nie można w takim razie tego przemilczeć. — Przyjechał — wzbudził wielkie podniecenie, zwłaszcza wśród młodzieży — Solski — Solski gra — chodźmy na »Fryderyka«, musimy, zobaczyć Solskiego. W małych światkach każdej klasy wrzało bardziej jak w ulu. Ale czy my pójdziemy — i czy ze szkołą — kiedy wreszcie się wybierzemy do teatru, bo napewno Solski przestanie grać. Jednak poszłyśmy i grał sam Ludwik Solski! Ale jak grał!

Światła zgasły. — Sztuka zaczyna się. My jednak czekamy w naprężeniu na Solskiego. Wreszcie — w II scenie ukazuje się — chce grać ale przez jakiś czas było to zupełnie nie możliwe. Ogrom braw wstrząsał teatrem. Po chwili zaczął. Czułam że jest w swoim żywiole. Fryderyk Nowaczyńskiego był doskonale dobraną postacią dla naszego artysty.

Solski grał więcej jak wspaniale, jak artystycznie, grał po mistrzowsku — a my byłyśmy zachwycone i przejęte widokiem mistrza.

W pewnej chwili zwracam się do koleżanki i mówię: jestem okropnie ciekawa, jakim jest Solski w życiu codziennem? Nie przypuszczałam ani na chwilę, że zobaczę jak wygląda i że nawet będę z nim rozmawiała.

Po skończeniu sztuki, z wielkim żalem ubrałyśmy się i powoli wychodzimy, gdy nagle ktoś mówi: »chodźmy do Solskiego to się podpisze, już ktoś tam poszedł« — My niebardzo wierząc w prawdziwość tych słów — idziemy — bo może uda się nam, a czasu mamy dość. Czekamy zatem przed dużemi żelaznemi drzwiami, i widać naszym prośbom (a było nas — nie chcę przesadzać — 50) nie można się było oprzeć, bo otworzono nam i wchodzimy już wprost do garderoby Solskiego. Dziewczynek było tak dużo, że ledwo go widziałam — On siedział przy stoliku — niski — siwiutki staruszek. Czekając na swoją kolejkę, podziwiałam go. Po odegraniu roli bardzo męczącej, teraz siedział jakby nic, pytał się każdej o imię i pisał p...... Solski 1935.

Czy to nie było wzruszające, że zamiast odpocząć nareszcie, siedział cierpliwie, rozmawiając z nami, uśmiechnięty, kochany staruszek. Poznałam go wtedy jako człowieka i poznanie było takie bliskie i serdeczne, że nie zapomnę tego nigdy.

Wracałam z teatru sama i byłam z tego bardzo zadowolona. Myślałam dużo, trzymając w ręku notes z drogim autografem Solskiego i jego fotografję jako Fryderyka Wielkiego (którą każda dostała przy wejściu). U dołu napisał:

»Młodzieży Lwowska.
Kocham Was.«

Tak mało słów, a jak pełna wartości treść. Zdanie przepełnione uczuciem, prosto z serca.

O Wielki Artysto! My Cię bardziej kochamy. *M. T.*

# Współczesne kompozytorki.

Muzyka z dawien dawna była dziedziną, której szerokie sfery kobiece wiele poświęcały pracy. Dziwnem jest, że właściwie tak mało nazwisk błysnęło, choć po wsze czasy były wielkie talenty.

Przyczyny tego szukać należy w fakcie, że nawet dziś, gdy mamy teoretycznie wszelkie uprawnienia, kobiecie jest niepomiernie trudniej wybić się, niż mężczyźnie. A cóż dopiero dawniej. Dlaczego tak jest — nie miejsce tu roztrząsać.

W danej chwili, twórczość kobieca we wszystkich dziedzinach sztuki stoi bardzo wysoko i szeroki ogół inteligencji zna i ceni talenty kobiece. Najmniej się mówi i pisze o twórczości muzycznej, mimo, iż zaraz poniżej zacytuję szereg nazwisk kobiet, które mają już za sobą poważny dorobek twórczości i to dorobek stojący na bardzo wysokim poziomie.

Jako pierwszą kompozytorkę (uznaną) czasów nowszych, trzeba wymienić *Marję Szymanowską*, teściową Adama Mickiewicza.

Zmarła niedawno, bo w 1932 r. Niekraszowa zapowiadała się poprostu nadzwyczajnie, jako talent o skali światowej — nie-

stety choroba, trwająca długie lata, nie pozwoliła na to, by błysnął tak, jak na to zasługiwał. W chwili obecnej twórczość muzyczna kobieca objawia się ze wzmożoną siłą.

Postaram się przypomnieć czytelniczkom nasze współczesne kompozytorki i ich najlepsze dzieła. Wymieniać je będę w porządku alfabetycznym.

*Irena Białuszewicz*, studja odbyła w Warszawskiem Konserwatorjum, napisała kilkanaście utworów na fortepian, skrzypce i orkiestrę, oraz wiele pięknych pieśni itd. Jest to jeden z »uznanych« talentów. Rzeczy jej ogólnie się podobają i doczekały się kilku wydań.

*Helena Dorabialska*, dr. muzyki ma za sobą studja na konserwatorjach: warszawskiem i krakowskiem. Komponuje od czasów szkolnych. Już w piątej klasie szkoły średniej zaczęła tworzyć piękne rzeczy.

Wydane ma piękne pieśni, preludja na fortepian, pisze też na skrzypce z fortepianem, kwartety kameralne, tria na skrzypce, harfę i wiolonczelę, oraz na orkiestrę symfoniczną.

Jest to duży talent muzyczny z Bożej łaski i poparty jeszcze głęboką wiedzą muzyczną. Talent jej obiecuje wiele na przyszłość.

*Łucja Droge — Schielowa* napisała bardzo wiele interesujących utworów na fortepian i szereg pięknych pieśni. Ma ona wybitny talent w fazie rozwoju, rokujący dużo na przyszłość.

*Rita Gnus,* wielce uzdolniona kompozytorka pieśni i piosenek dla dzieci. Mimo, iż wydaje stosunkowo dużo, posiada w rękopisach i na warsztacie autorskim wiele ciekawych prac.

*Grzegorzewska Lachowska*, duży talent, poświęca się ona przeważnie muzyce poważnej.

*Anna Marja Klechnowska*, to żywiołowy talent, uprawiający rozmaite gałęzie kompozycji. Już w dziecinnych latach pisała poemaciki muzyczne. Jej Tryptyk muzyczny na śpiew, fortepian i taniec plastyczny, został odznaczony na konkursie »Muzyki« w 1932 r. Tryptyk ten, odtwarzający sceny z legendarnej przeszłości greckiej jest ostatnim wyrazem techniki w połączeniu z oryginalną i pełną treści melodją. Napisała też piękny poemat symfoniczny »Wawel« (wykonywany w Filharmonji Warszawskiej), następnie Legendę na skrzypce z fortepianem, parę pięknych Kołysanek, opartych na folklorze polskim, Tańce ludowe, Komedję muzyczną p. t. »Djabeł«. Ostatnio pracuje nad poematem symfonicznym p. t. »Safona«. Utwory Klechnowskiej świadczą o bogatej fantazji i wszechstronnem uzdolnieniu kompozytorki, znanej również na polu pedagogicznem, jako jedynej w swoim rodzaju szkoły dla nauki gry na fortepianie, cieszącej się zasłużonem powodzeniem.

*Zofja Ossendowska* (stud. w Warszaw. Konserw. i w Paryżu) już jako młoda panienka otrzymała nagrodę na konkursie walców. Pisze na skrzypce, fortepian, śpiew. Znane są jej kompozycje oparte na motywach egzotycznych, piękne w formie, oraz interesujące pod względem opracowania harmonicznego, są pełne czaru i poezji. Kompozycje jej wykonywane są często przez skrzypków na koncertach.

Posiada ona wiele prac bardzo ciekawych w manuskryptach.

*Poznańska Marja.* Ciekawy i wiele obiecujący talent, znajduje się w fazie rozwoju.

*Trębicka*, bardzo utalentowana kompozytorka, posiada wiele interesujących prac.

*Wróblewska Zofja* (stud. we Lwowie i Lipsku). Jako młodziutka panienka otrzymała nagrodę na konkursie muzycznym we Lwowie. Potem parę odznaczeń na innych konkursach. Napisała wiele pięknych pieśni do słów Mickiewicza, Krasińskiego itp. Niezwykle utalentowana i gruntownie muzycznie wykształcona (uczennica Maska Regera) pisze wiele interesujących utworów fortepianowych. Talent bardzo ciekawy, ale z powodów rodzinnych przez pewien czas zamilkł. Ostatnio znów pisze i w ubiegłym roku otrzymała odznaczenie za śliczny utwór p. t. »Walc chromatyczny«.

*Markiewicz.* Niezwykle uzdolniona kompozytorka w kierunku impresjonistycznym. Napisała dużo ciekawych utworów muzycznych.

*Zdziennica — Bergerowa Zofja* (stud. w Warsz. Konserw. i Wiedniu). Poświęciła się wskrzeszeniu starych instrumentów, jak lutnia, cytra itd. Jeszcze jako uczennica konserwatorjum, komponowała różne utwory

i w tym czasie, widząc jak nisko stoi poziom nauczania na tych instrumentach, napisała pierwszy podręcznik do nauki gry, który znalazł powodzenie i obecnie z 6-ciu szkół niektóre doszły do 8 wydań i wyparły z naszego rynku podręczniki niemieckie, francuskie i włoskie. Fantazja Cedur, Kaprys i inne utwory *Z.* Zdziennickiej—Bergerowej, są jedynemi w naszej literaturze kompozycjami poważnemi na cytrę.

Z najmłodszych kobiet—kompozyt rek mamy niezwykle wybitną siłę w osobie *Bacewiczówny*, która pisze wiele bardzo ciekawych utworów na skrzypce, fortepian, również utwory kameralne. Jest niezwykle utalentowana i obiecuje wiele na przyszłość.

Mamy również przedstawicielki muzyki tanecznej i piosenkowej: Anda Kitshman, bardzo uzdolniona i muzycznie wykształcona oraz Vorbond—Dąbrowska, młoda pełna talentu kompozytorka piosenek rewelersowych (dyrygentka popularnego i wielką sympatją cieszącego się zespołu Te cztery). Vorbond Dąbrowska jest niewątpliwie jedyną u nas kompozytorką tego genre'a i w niedalekiej przyszłości stanie się znakomitością w swoim zakresie. Poza granicami kraju mamy jeszcze parę kompozytorek: jak, Wanda Landowska i Poldowska oraz Fanny Gordon, znaną autorkę operetek.

*Marja Łepkowska.*

## Od Redakcji.

P. T. Wydawnictwom, które nadesłały książki do recenzji serdecznie dziękujemy — Nadeszły niestety zbyt późno i nasi recenzenci nie byli w stanie w czasie feryj świątecznych takowych przejrzeć. Nie omieszkamy w następnym numerze wszystkie recenzje umieścić.

**SPROSTOWANIA OMYŁEK DRUKU W NR. 4.**

Str. 83 wiersz 1 od dołu zamiast: sterczą — ma być: sterczące. — Str. 83 wiersz 6 od góry zamiast: wytwory kultury leśnej — ma być: szerokie aleje, wytwory kultury ludzkiej. – Str. 96 wiersz 21 od góry zamiast: fale snuła — ma być: dalej snuła. — Str. 96 wiersz 5 od dołu zamiast: że nie może mu w tem towarzyszyć — ma być: że nie mogła mu tam towarzyszyć. — Str. 96 wiersz 16 od dołu zamiast: sprzeciwił — ma być: przeciwiał. — Str. 96 wiersz 14 od dołu zamiast: z boju jak morze — ma być: z bolu jak morze.

TREŚĆ N-ru 5-go:



Roczniki »Dziś i Jutra« z dawnych lat są do nabycia w Redakcji: **Kraków, Starowiślna 11**

**WARUNKI PRENUMERATY: ROCZNIE 6 ZŁ.**

Numer pojedynczy 0 60 zł.

Konto P. K. O.: „Dziś i Jutro“, Nr. 404 930.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor:

*Zofja Zakrzewska.*

**Adres Redakcji; Kraków, ul. Starowiślna 11**

Drukarnia „Powściągliwość i Praca“ w Krakowie.